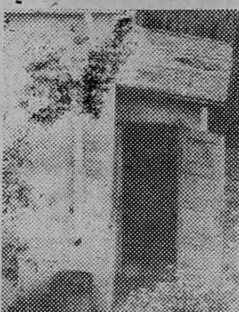




3
obozowe
lato



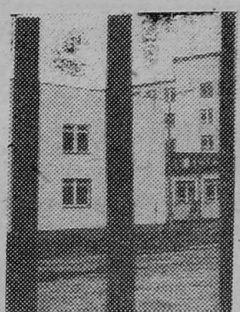
4
straszna
dziura



5
w pułapce



6-9
łomżyń-
ka



11
perłakta-
cje

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

19

(95)

KONTAKTY
8 VIII 1982
Cena 12 zł



requiem

dla
łomżyńskiej
szansy

W roku 1980 Łomża szczególnie często gościła na łamach prasy, na falach eteru, na szklanym ekranie. Hasło wywoławcze brzmiało: „Łomża twoją szansą”; zgrabne, lapidarne, kuszące dziesiątkami obietnic, zawartych w jednym cudownym słowie „szansa”. Na udane życie, na sukces zawodowy... Na samorealizację — krótko mówiąc.

źdźbło na dźwigu

MIROSŁAW
PINDRAŁ

Był wiec całej wsi. Zużyłem kilkaset metrów taśmy magnetofonowej. Wśród rolników nie brakło i miejscowej inteligencji — lekarzy, nauczycieli, duchownych, urzędników. Na wiecu był także syn byłego dziedzica K. — Adam C. — na moją prośbę.

— Witam bardzo serdecznie — powiedział. — Niektórzy mnie tu poznali. Jakaś kobiecina ucałowała mnie nawet w rękę. Przyznam się szczerze, że wstydliwie ukrywam swoje urodzenie. W ankietach zniżyłem się do pochodzenia robotniczego. Jestem członkiem partii od 1951 roku i szczerem komunistą. Mówcie sobie, że szlachta, mszcząc się za rewolucję burżuazyjną, pięścią robotnika rozbija jej twierdze, mówcie sobie nawet, że Lenin i Dzierżyński byli szlagonami, że Marks, — przez żonę, spowinowacił się z najwyższą arystokracją pruską, a Engels, na dobrą sprawę, był tylko fabrykantem. To wszystko prawda, jeśli nie zabarwimy tej prawdy płytką złośliwością ludzką, której zasada jest upraszczanie. A nie upraszczając, zawsze musimy wierzyć w człowieka, zaczynać wszystko od dojrzałości moralnej, i to własnej! Były u nas nieporządki; z braku własnej dojrzałości moralnej. Dobre chęci nie wystarczyły. Spójrzmy na winnych oczami 1956, 1970, 1980 roku. Byli to ludzie na swój sposób uczciwi, zapobiegliwi i odpowiedzialni. Zawsze kierowała nimi dobra wiara. Zmieniały się tylko kategorie myślenia. Ta dobra wiara to zachowanie autorytetu państwa ludowego i własnego urzędu na stosownym poziomie moralnym. Tylko tę moralność pojmowano zewnętrznie, po szatańsku, przez efekt i błyszczenie, nie licząc się z logiką następstw i potrzebą mocy duchowej na urzędzie. Kto ma duszę, ten krajem naprawdę rządzi. Partia nie zabiegała o dusze, i ma teraz kłopoty! Zatem nie ma winy w aparacie partii, w jej kierownictwie, w systemie — jest wina w ludzkim upadku moralnym. Ja wam to mówię, dziedzic.

Wybrałem wieś najbardziej mi znana i na tyle obcą, by nie przegapić rzeczy, do których wzrok się przyzwyczaja. Pejzaż tu niezwykle: po prawej stronie łęgi i kapryśna rzeka, po lewej — pola na wzgórzach i głębokie drogi.

STR. 7

CIĄG DAJSZY NA STR. 5

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Krytyka z wytartą gębą”, czyli drugi etap zmagania dziennikarza z układowymi w Andrzejewie ▲ „Świat na końcu igły” mi strza krawieckiego z Rutk ▲ O rajgrodzkim raju ▲ „Powiatowy sen Kłona” ▲ Mecenat Śmiarowski na procesie brzeskim ▲ „Łomżyński”, powieści sprzed stu lat, część II ▲ Final perypetii ofiary oszusta — „W pułapce” ▲ Na str. 16 — „Zambrowiana”.

„DZIAŁALNOŚĆ PARTII” na rzecz rozwiązywania problemów społeczeństwa była tematem plenarnego posiedzenia KW PZPR w Łomży. Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Mieczysław Brzeziński, przedstawił sytuację społeczną, polityczną i ekonomiczną od III Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej.

◆ PZPR w Łomżyńskim liczy 17 899 członków, w tym 5097 robotników, 4139 rolników, 6821 pracowników umysłowych i 1842 przedstawicieli innych zawodów. Od 30 czerwca 1982 r. szeregi partyjne opuściło 1977 członków. Najbardziej niepokojący jest odpływ z partii robotników i rolników. Zorganizowano szereg spotkań członków Komitetu Wojewódzkiego z załogami zakładów pracy. Pracownicy KW są członkami zakładowych organizacji partyjnych.

◆ Mimo wysiłków — spada produkcja przemysłowa województwa. W ciągu sześciu miesięcy budowlani oddali 518 mieszkań, czyli połowę ilości zaplanowanej. W zreformowanych przedsiębiorstwach szczególna rola przypada samorządom robotniczym; dotychczas powołano je w niewielu łomżyńskich zakładach.

◆ Lipcowy spis produkcji rolnej wykazał zahamowanie tendencji spadkowych w hodowli zwierzęcej. Jej wzrost ogranicza niedostatek środków produkcji i niedowład administracji.

◆ Nastroje w społeczeństwie zagnania utrzymująca się spekulacja i nieuczciwość sprzedawców. W ciągu pięciu miesięcy br. do instancji wojewódzkiej wpłynęło 87 listów, a 137 interesantów osobiście prosiło o interwencję.

◆ W dyskusji Stefania Broniszewska nawiązała do metod pracy partyjnej: — Nie wystarczy ograniczyć się do zebrań. Słabą stroną niektórych organizacji jest wyczekiwanie. Trzeba pamiętać o błędach przeszłości, ale nie można rozpamiętywać ich bez końca.

Zygmunt Domański zajął się tematem handlu: — Rozkłada nas podziemie handlowe i ci, którzy z jego „dobrodrojeństw” korzystają. Brakuje szpaku, ale za 1500 złotych można go kupować tonami. Apeluję do wszystkich towarzyszy: zaczynajmy coś robić! Jeśli robotnik czy rolnik będzie widział, że partia działa skutecznie, stanie się jej zwolennikiem.

Aleksander Jankowski mówił o autorytecie partii: — Musimy rozpoznać od umocnienia autorytetu instancji podstawowej. Jeśli POP zgłasza wniosek do jakiegokolwiek instancji i nie zostanie on załatwiony, to znaczy, że organizacja nie ma autorytetu. Bezpartyjni muszą wiedzieć, że jeśli zbierają się partyjni, coś ważnego z pewnością się rozstrzygnie.

Franciszek Kubiczek (kierownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR) przede wszystkim skoncentrował się na roli POP: — Nie chcę przerzucać piłeczki ze szczybla centralnego do podstawowego, ale mam szereg wątpliwości, czy POP biorą aktywny udział w działalności zakładu. Wiadomo, że wąskim gardłem przemysłu obuwicznego są garbarnie. Dopiero militarystyka tych zakładów umożliwiła pracę w soboty. Dlaczego decyzji o dodatkowej pracy nie podjęła organizacja partyjna. W połowie sierpnia przedstawimy do dyskusji nowy system płac. Oczekujemy, że zakładowe organizacje partyjne włączą się do dyskusji.

◆ Plenum zaakceptowało 24-osobowy skład Rady Redakcyjnej tygodnika „Kontakty”. W przyjętej uchwale zobowiązało instancję wojewódzką do skutecznej realizacji wniosków zgłaszanych przez obywateli, czuwania nad wdrażaniem reformy gospodarczej, reagowania na fakty łamania zasad sprawiedliwości społecznej. Podejmując inicjatywę Sejmu PRL w budzeniu patriotycznego ruchu odrodzenia narodowego — Plenum zobowiązało członków partii do aktywnego udziału w tym ruchu.

PO IX PLENUM KC PZPR członek KC, Witold Malinowski, i zastępca członka KC, Włodzimierz Michaluk, spotkali się z przedstawicielami łomżyńskich organizacji młodzieżowych. Zrelacjonowali oni przygotowania do „młodzieżowego” Plenum oraz jego przebieg. Włodzimierz Michaluk stwierdził, że młodzież, po-

dobnie jak dorośli, wie za mało o komplikującej się sytuacji międzyrodowej i narastającym wysięgu zbrojeń. Dyskusja dotyczyła konkretnych łomżyńskich problemów oraz funkcjonowania Komitetu ds. Młodzieży. Następne spotkanie zostało wyznaczone na drugą połowę sierpnia; jego efektem będzie wspólny program działania KW PZPR i organizacji młodzieżowych.

NA WNIOSEK OKON-u w Zarebach Kościelnych, wioski tej pogranicznej gminy, do której pogotowie ratunkowe pędziło z odległego Wysokiego Mazowieckiego, otrzymają opiekę medyczną w Ostrowi Mazowieckiej. Są nadzieje na inne życiowe posunięcia, które zlikwidują bariery administracyjne: zwiększenie częstotliwości kursów PKS-u do Ostrowi i odbiór mleka przez spółdzielnię będącą najbliższą gminą.

PREZYDIUM WK SD oceniło działalność Miejskiego Komitetu w Kolnie. Zaleciło rozszerzenie form działania MK i ożywienie aktywności poszczególnych kół. Prezydium poruszyło również problem czystości w prasie i innych publikacji wydawnictwa „Epoka” oraz pracy społecznych korespondentów.

KOMENDA MIEJSKA MO w Łomży przeprowadziła w dniach 17–26 lipca wiele akcji mających na celu wychwycenie pasożytów, grupujących się pod sklepami, wytrwałych amatorów piwa i kierowców prowadzących pojazdy pod wpływem alkoholu. W wyniku tych działań 12 osób zostało ukaranych w trybie przyspieszonym. Zapłacili oni łącznie 35 500 złotych grzywny. Ponadto trzy osoby zostały ukarane dwumiesięcznym, a jedna — trzymiesięcznym aresztem oraz utratą 25 proc. poborów. Do kolegium skierowano w zwykłym trybie 14 wniosków, a poczyniono 52 osoby. Ujawniono i zarejestrowano 56 społecznych pasożytów. Funkcjonariusze przypuszczają, że gdyby dostawy piwa były bardziej regularne, liczba ukaranych osób byłaby znacznie wyższa. Życie zapewne potwierdzi tę opinię, bo komenda MO nie ma zamiaru poprzestać na tej akcji.

KOLEGIUM ORZEKAJĄCE w Łomży w ub. tygodniu rozpatrzyło w trybie przyspieszonym siedemnaście wniosków: trzy za prowadzenie pojazdów w stanie wskazującym na spożycie alkoholu (kary 4500–10000 złotych), dziewięć za zakłócenie porządku w miejscu publicznym (kary od 4400–6000). Grzywnami w wysokości 1500 złotych ukarano pięć osób, zapomnieli o przepisach dekretu o stanie wojennym zobowiązującym do stałego noszenia przy sobie dowodu tożsamości. Przy okazji przypomnieli, że wysokość grzywny wzrosła czterokrotnie; maksymalna kara pieniężna wymierzona przez kolegium wynosi teraz 20 000 złotych.

REDAKCJA ROLNA TWP odwiedziła Zambrów. Powodem przyjazdu były uzasadnione skargi rolników ze wsi Sędziwuje i samego Zambrowa na prowadzenie drenacji gruntów w żniwa i niszczenie pól. Po powrocie z urlopu naczelnik w ciągu jednego dnia zebrał wszystkie zainteresowane strony i rozstrzygnął spór na korzyść rolników.

TEMPO PRAC melioracyjnych w województwie jest zdecydowanie za słabe. Brakuje co najmniej 150 robotników, a z 280 zatrudnionych — nie wszyscy pracują gorliwie. Obowiązuje system akordowy, ale stawki są niskie i zarobki wynoszą od 5–10 tysięcy złotych miesięcznie, chociaż są i tacy, którzy nie „wyciągają” nawet tysiąca. Ponieważ koszty robót melioracyjnych wzrosły w ub. roku o 80–100 proc., wiele spółek wodnych nie uchwalilo budżetu, czyli składek od jednego zmeliorowanego hektara gruntu, a niektóre się rozwiązały, proponując metodę

odrobku. Ministerstwo zaakceptowało ten system. Nie zdał on jednak egzaminu, gdyż zaawansowanie robót na koniec lipca nie przekroczyło 10 proc. Urzędy gminne wystąpiły już upomnienia do rolników; jeśli nie pomogą, naczelnicy będą stosować sankcje karne oraz organizować ekipy do prac konserwacyjnych, a kosztami obciążą użytkowników. Szczególnie mocno zaniedbały konserwację urządzeń melioracyjnych rejon: Zawady, Nur, Mały Płock, Wysokie Mazowieckie i Grajewo.

680 WOLNYCH MIEJSC pracy jest w województwie, a poszukujących jej — zaledwie 300. Zakłady w Grajewie dysponują 105 wolnymi etatami, a w Urzędzie zarejestrowało się zaledwie 29 mężczyzn i 30 kobiet. Racjonalne zatrudnienie w województwie utrudnia brak mieszkań, np. zambrowska „Bawelna”, której brakuje ok. 300 osób, mogłaby przyjąć 100 pracowników z rejonu Goniądza, ale nie ma ich gdzie zakwaterować.

MŁODZIEŻY POSZUKUJĄCEJ sezonowej pracy Komenda Wojewódzka OHP proponuje wrześniowy wyjazd do Czechosłowacji, do zakładów przetwórstwa owoców-warzywnej w miejscowości Znojmo. Wymagane uczestnictwo w przynajmniej jednym krajowym hufcu pracy, pełnoletność i nienaganna opinia szkoły. Są również możliwości zatrudnienia się na miejscu: SKR w Piątnicy poszukuje pełnoletnich chłopców do pomocy w obsługiwanym snopowiązałek za 25 złotych na godzinę; Przedsiębiorstwo „Las” płaci 16–17 złotych za godzinę sortowania runa leśnego. Podobne stawki oferuje przemysł przetwórczy. Chętnych do pracy poszukują również indywidualni plantatorzy.

W I PÓŁROCZU br. WPHW sprzedało zakładom pracy i instytucjom towarów (wyposażenie wnętrz, artykuły biurowe i służące wypełnianiu przepisów bhp) na sumę blisko 9 milionów złotych. Były wśród nich m.in. firany, zastony, artykuły sportowo-turystyczne, fotooptyczne, sprzęt radio-telewizyjny i oświetleniowy. Natomiast zamówienia komisji społecznych WPHW zrealizowało zaledwie w 50 proc. Ciągłe zbytnie mała jest podaż bielizny damskiej i męskiej.

ŁOMŻYŃSKI ODDZIAŁ PTTK nie skarży się tego lata na nadmiar pracy. Od maja jedynie 1500 turystów odwiedzających Łomżę korzystało z jego usług (przewodnik, obiady, noclegi). Towarzystwo wysłało natomiast 3200 łomżyńskich na wycieczki, z tego jedynie 135 na Węgry i do Bułgarii, a resztę — po Polsce, głównie do Warszawy, Częstochowy, Krakowa i w okolice Kętrzyna. W tym roku zorganizowało tylko dwie wycieczki nad morze ze względu na ich wysoki koszt. Mało jest chętnych na kilkudniowe spływy kajakowe. Oddział łomżyński PTTK administruje od br. Domem Wczasowym w Morgownikach. Cena jednego noclegu — 160 złotych. Wolne miejsca będą dopiero we wrześniu, prawdopodobnie tańsze; na razie można rozbić namioty na pobliskim kempingu i korzystać z sobotnich i niedzielnych dyskotek.

PO CZTERECH LATACH starań — 30 lipca został oddany do użytku sportowy pawilon dla ciężarowców, popularnie zwany siłownią. Otwarcie odbyło się bez wstęg i fanfar, bo budowę trudno nazwać sukcesem. Ciężarowcy natomiast, mimo braku siłowni, potrafili zdobywać mistrzostwa Polski.

TYLKO PRZEZ JEDEN dzień, 8 sierpnia, gościć będzie w Łomży czechosłowacki cyrk „Indras”.

IŁOŚĆ POŻARÓW w województwie — CIĄG DALSZY NA STR. 15

punkt widzenia

STANISŁAW RADZIWIŃ, sekretarz zambrowskiego KMG PZPR — W Zambrowie, podobnie jak w całym kraju, trwa dyskusja o metodach zarządzania i kierowania gospodarką, systemie motywacyjnym, sposobach podnoszenia wydajności pracy. Przemysł zambrowski, podobnie jak przemysł bawelniański, poza drobnymi wyjątkami, nie jest zagrożony postojami z powodu braku materiałów. Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego mają spory zapas radzieckiej bawełny, a jednak produkcja w nich spada. Przyczyna jest brak rąk do pracy; aby zapewnić pełną obsługę maszyn tkackich, trzeba zatrudnić jeszcze dwunastu ludzi.

Te nagłe niedobory siły roboczej zrodziły się w wyniku powszechnego obniżenia wieku emerytalnego. Pociąganie to miało zapobiec spodziewanemu bezrobociu po przesiedzeniu pracowników administracyjnych do produkcji w ramach reformy. Niestety, do realizacji reformatorskiego zadania walki z bezrobociem jeszcze nie doszło. Albowiem załóg w powodzenie wdrażanej reformy wzrosła, konieczne jest natychmiastowe przystąpienie do rygorystycznego ograniczania liczby pracowników administracji oraz likwidacja zbędnej statystyki i sprawozdawczości. Chociaż są one, podobnie jak informatyka, nieodzowne przy wypracowywaniu prawidłowych decyzji gospodarczych, takie decyzje są podejmowane głównie na szczeblu przedsiębiorstwa, gdzie informacja jest najniższa. Tymczasem nadmiernie rozbudowany aparat administracyjny wyżył szczebli nie jest wprawdzie w stanie podejmować operatywnych zarządzeń, lecz, dla swego dobrego samopoczucia, żąda od przedsiębiorstw coraz większej ilości informacji do przetwarzania. Najczęściej z tego nie wynika dla przedsiębiorstw szczególnych zakładów.

Administracja średniego i wyszego szczebla sama musiałaby sobie przeprowadzić operację samoograniczenia, co jest o tyle trudne, że jej taki zabieg chirurgiczny wydaje się konieczny. W przedsiębiorstwach natomiast likwidowanie stanowisk nieprodukcyjnych zostało niejako wymuszone przez załogi, bo od tego będą m.in. zależne zarobki pracowników. Co jednak będą robić zrzeszenia, zjednoczenia itp., gdy zredukowana biurokracja przedsiębiorstw nie zapewni im odpowiednich ilości sprawozdań i informacji, uzasadniających sens ich istnienia?

Notowała DM

wypisy z historii

5 VIII 1803 r. rada miejska miasta Łomży postanowiła przeznaczyć 100 zł funduszu kasy miejskiej na zapewnienie wyrobu płyt betonowych dla aresztantów, odbywających kary w miejscowym więzieniu. Na decyzję ta wpłynęła przede wszystkim potrzebą porządkowania trotuarów.

7 VIII 1941 r. na dawnym cmentarzu żydowskim w Grajewie hitlerowcy strzelali 119 Polaków, Rosjan i Żydów w większości działaczy komunistycznych.

7 VIII 1943 r. w Grajewie, na cmentarzu żydowskim, gestapowcy i hitlerowcy rozstrzelali 193 Polaków i Żydów z Grajewa.

1 VIII 1944 r. o godz. 17.00, na rozbitym cmentarzu żydowskim w Łomży, komendant główny AK, porucznik Stanisław Żelicki, przywodził do życia powstanie zbrojne w Łomży. Nieodwrotny bój trwał 63 dni.

7 VIII 1947 r. w Zawadach — z ramienia „Roli” — zginieli: starsza porucznik dy. w Łomży, Tadeusz Żelicki, porucznik PRN-u, Stanisław Bałowski, kierownik, Stanisław Bałowski.

2 VIII 1952 r. na polach powiatu Podlaski rozpoczął pracę pierwszy balon w województwie.

6 VIII 1959 r. — z okazji 100 rocznicy urodzin Ludwika Zamenhofs — uroczystości w Białymstoku, urodzin twórcy języka międzynarodowego. Udział w nich wzięło ponad 2000 osób. Udział w nich wzięło ponad 2000 osób. Udział w nich wzięło ponad 2000 osób.

Redagowanie „Zdarzeń” DANUTA WRONISZEWSKA

zdarzenia



zdanie tygodnia

„Przyspieszyć to ja mogę kroku, ale nie robotę”.

Edward Gąsiewski, dyrektor WPBK

myśl z atestem

Stale odmawiam krótką modlitwę: „Boże, ośmiesz moich wrogów”. I dobry Bóg przychylił się do mojej prośby.

Wolter

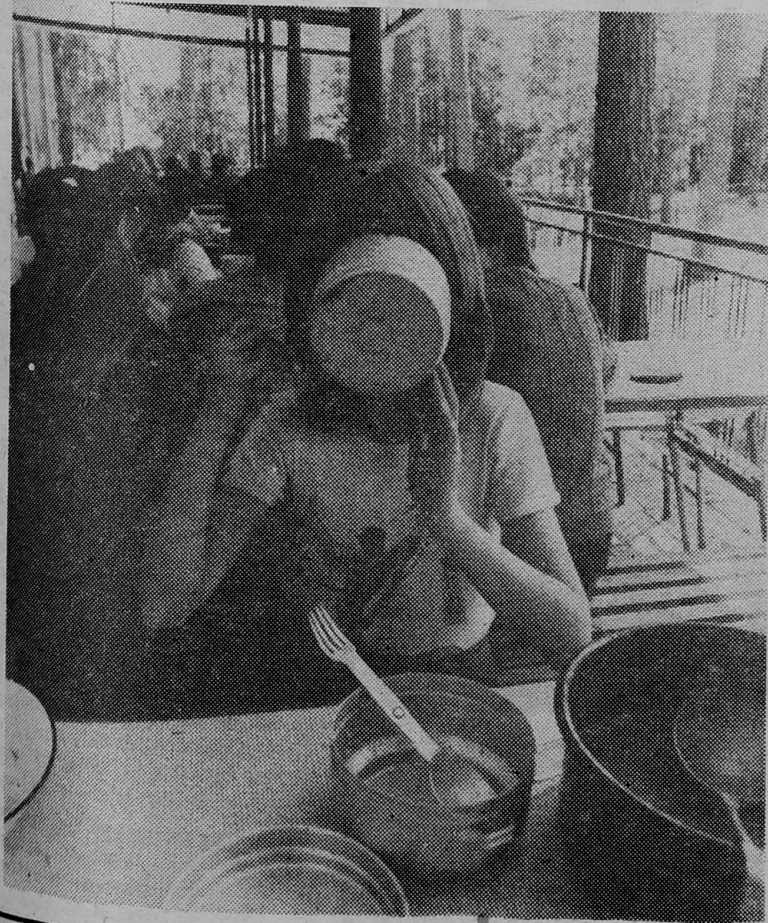


obozowe lato

Zambrowscy narcerze z pogodą trafili w dziesiątkę. W malowniczo zlokalizowanym obozie w Koźle nad Pisą roją się jak przysłowiowe mrówki. Pozornie niby nic tu się nie dzieje, ale gdy się bliżej przyjrzeć, każdy ma swoje zajęcie; jedni piorą, inni poprawiają zniszczone przez burzę totemy i dekoracje. Tylko czuwający na warcie się nudzą; od czasu do czasu poinformują stojących pod bramą rodziców, że wszystko w porządku, a potem znów popadają w apatię. Komendantka obozu martwi się małym przydziałem cukru. Ale dzieciom zdaje się to nie szkodzić; byle miski były pełne!



tekst i zdjęcia
Gabora Lörinczego



Mój przyjaciel Michał cały rano grzebał w gliniastej kałuży przed blokiem i z utęsknieniem wypatrywał mego powrotu, żeby pogadać o piłce nożnej oraz zrelacjonować całotygodniowe psoty podwórzowej ferajny. Nawet w czasie upragnionych wakacji zdarza się dzieciom nuda: czasu wolnego jest więcej, lecz zabaw nie przybywa. Osiedla szare, duszne, place zabaw smętne i nieliczne, toteż dzieci z bloków sąsiadujących z placami przejmują je na wyłączne użytkowanie i niechętnie widzą „obcych”.

Chociaż pomysłowość dzieci jest nieograniczona, nie zawsze zachwyca dorosłych: coraz rzadziej bawią się oni w milicjantów, coraz częściej — w chuliganów. Michał poinformował mnie właśnie, że Arek bardzo długo był najlepszym łobuzem, bo przewrócił śmietnik i zerwał piękną, nową skrzynkę listową. Skrzynki trochę szkoda, bo była fajna zabawa z wrzucaniem do niej papierków, ciasteczek i patyczków. Tomek jednak zdystansował wszystkich: podpalił jakąś piwnicę. „Nie było dymu i zamieszania!” Łatwo odgadłam, że chodziło tym razem o moją piwnicę...

Wprawdzie trudno być wrogiem dziecięcych zabaw, szczególnie po niewczasie, ale przyznam, że trochę mnie zdenerwowały te wakacyjne igraszki milusińskich. Postanowiłam więc energicznie reklamować zorganizowane formy wypoczynku dla dzieci. Odwiedziłam znajomego półkolonistę: — Jak tam, Małeczku, na półkoloniach? — Okropnie, proszę pani, nudzimy się. — Wychowawczynie nie wymyśla żadnych zabaw? — Może wymyśla, bo wciąż albo coś pisze, albo patrzy w okno; czasem czyta. — A dzieci co wtedy robią? — Bawią się, biją. Różnie. A siusiają pod płotem! Bo najgorsza na półkolonii jest ubikacja. To taka rudzka na podwórku, z dziurami zamiast sedesów. Dzieci się boją tych dziur i robią obok. Ja też tam więcej nie pójdę; posłusiam sobie gdzieś w kącie. — A kupkę? — Kupki nie będę robił wcale. — Jeśli jednak zjesz coś dobrego i cię przycisnie? — Oj, proszę pani, tam nic dobrego do jedzenia nie dają! Budyń z chlebem i czarna kawa!

Dzieci są zdecydowanie zbyt krytyczne i nie z nimi propagandowe numery. Trzeba zdać się na dorosłych.

Lipcowe półkolonie w Łomży prowadzi jedynie Szkoła Podstawowa nr 6, położna w samym centrum miasta. Dysponuje tylko ciasnym, betonowo-piaskowym podwórkiem. Przez siatkę ogrodzenia przenika tu kurz i hałas uliczny. Program zajęć lansowany przez wychowawczynie, to „świeże powietrze przede wszystkim”. Nie trzeba po nie wędrować zbyt daleko: wystarczy pójść nad Narew, do ogródka jordanowskiego. Czasem ktoś tam napelni basenik wodą i dzieci się pochlapia. Raz okazało się jednak, że wygodniej zatrzymać się w pół drogi, na placu Zeglickiego, i zażyć orzeźwiającej kąpieli w fontannie...

Tego jednak ranka siedzimy z dziećmi w dusznej sali, przy szczelnie zamkniętych oknach (hałas?), przed czarno-białym telewizorem, bo kolorowy się zepsuł. Bajka jest wprawdzie ciekawa, ale budzi niewielkie zainteresowanie. Wszyscy niecierpliwą się nieco, bo miały być zawody na stadionie, ale chyba nic z tego nie wyjdzie, ponieważ lekarz się spóźnia. Wizyta pani doktor jest ważniejsza; półkolonie trwa już tydzień, a dzieci jeszcze nie przebadane. Cóż, lekarze też mają urlopy; do wczoraj i od jutra, a więc dziś ostatnia szansa...

— Dzieci są bardzo zadowolone — zapewnia mnie wychowawczynie. — Ładnie się bawią. Na razie nie mieliśmy zbyt wielu wycieczek, bo pogoda była niepewna. Wtedy lepiej zostać w świetlicy, gdzie są warcaby, „Chińczyk”, „Futbol”; zorganizowaliśmy festiwal piosenki. Mogą też pobiegać po boisku; są skakanki, piłki „cytrynka”. Życie jest tu wspaniałe: obiady dwu-, czasem trzydaniowe.

Dzieci idą wreszcie na badania, a ja — na rozmowę z Józefem Kalinowskim, kierownikiem placówki, na co dzień: dyrektorem tej szkoły.

— Szkoła rokrocznie organizuje półkolonie, lecz tego lata szczególnie trudno było je przygotować: przede

WAKACYJNE IGRASZKI

wszystkim brakowało chętnych. Odpłatność poprzednio wynosiła 37 złotych, a w tym roku — blisko 900. Uczestnikami są przeważnie dzieci z rodzin biednych lub bardzo biednych, toteż 900 złotych było dla nich sumą szokującą. Dopiero w ostatniej chwili przyszła wiadomość, że będą dofinansowania. W rezultacie tylko za jedno dziecko rodzice uiszcili peł-



na odpłatność, za szesnaścioro — po 300 złotych, a za pozostałe koszty pokryje TPD, które jest organizatorem półkolonii. Dzieci z osiedla Jantar są rodzinami; aż 90 proc.

DANUTA WRONISZEWSKA straszna dziura

to uczniowie „szóstki”. Łatwiej było nam dotrzeć do rodziców, a teraz dzieciom na te wywczasy. Rodzice są zadowoleni: mogą być pewni, że od ósmej do piętnastej dzieci są pod



fachową opieką i nakarmione; 70 złotych dziennie na śniadania i obiady oraz dary żywnościowe od Kościoła zapewniają przyzwoite wyżywienie. Krucho jest z piątkami na tzw. środki materialne. Do dyspozycji były jedynie dwa tysiące, a pani intendentka wydała już 2100 na same środki utrzymania czystości. Na zabawki, kredki, zeszyty nie zostało a-

ni grosza, ale i tak nie można ich nigdzie kupić. Na bilety do kina, muzeum i inne kulturalne imprezy wypada po dwadzieścia złotych na główkę, a więc, przy obecnych cenach, niewiele będzie tych atrakcji...

Okazuje się jednak, że pieniądze są, i to duże, w dyspozycji Kuratorium Oświaty i Wychowania. Andrzej Kopka rozprasza moje zaniepokojenie: — Powinni zadzwonić do nas; dostanę następne dwa lub trzy miliony na półkolonie.

No, proszę, a tam się zamartwiają o tysiące! Andrzej Kopka zapewnia mnie również, że te pogłoski o opłatach za kolonie i obozy po cztery, pięć tysięcy są bzdurą. — Nawet jeśli faktyczny koszt wypoczynku jest wysoki, to rodzice nie płacą więcej niż 1000, 1200, gdyż odpłatność obejmuje jedynie część wyżywienia (51 złotych na dzień asygnuje państwo). Odciąga się też po 35 złotych z rekompensaty, co jest pościąganiem uzasadnionym, lecz nie zawsze praktykowanym.

Większość rodziców nie wie o tych dotacjach, stwarzających możliwość korzystania z niemal darmowych kolonii. Zapowiadały się bowiem bardzo drogie. Dopiero na początku lipca rozsyłał się worek z pieniędzmi, a ściślej — z ich pisemną zapowiedzią. Najpierw zawiadomiono łomżyńskie Kuratorium o półtoramilionowym dofinansowaniu dzieci z rodzin wielodzietnych, potem przyszły następne trzy miliony na opłacenie wypoczynku dzieci alkoholików. Swoją drogą: mając te 4,5 miliona można by wszystkich tegorocznych kolonistów i obozowiczów zwolnić od opłat, ale, niestety, trzeba mieć podkładkę, przynajmniej pisemne oświadczenie rodzica, że z upodobania jest alkoholikiem. Na razie nikt nie próbował sprzedawać swej opinii za dwie butelki czystej pozakartkowej, ale kto wie, jak długo pozostaniemy tak obyczajni...

Tegoroczne wakacje są dla wielu skromniejsze. Czy takie jednak być musiały? Żeby następne były bardziej udane, należy zacząć o nich myśleć już we wrześniu. Czy koniecznie trzeba trzymać się niezbyt popularnych półkolonii? Dlaczego by nie tworzyć w różnych punktach miasta wakacyjnych świetlic, czynnych cały dzień? I koniecznie zapowiadać (np. na plan-szy) program zajęć na dzień następny, aby i dzieci, i mamy wiedziały,

kontakty kontaktów

Na spotkaniu przewodniczących dziewięciu oddziałów terenowych Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej w Warszawie zrodził się projekt nawiązania ściślejszej współpracy z łomżyńskim tygodnikiem społecznym „Kontakty” przez nadsyłanie do druku artykułów o różnej treści. Generalną tematyką tych publikacji byłyby sprawy i problemy dawnej oraz dzisiejszej Łomży, a także całej Ziemi Łomżyńskiej — wspomnienia, przyczynki społeczno-historyczne itp.

Inicjując tę propozycję, załączamy tekst znanego działacza społecznego z okresu międzywojennego, byłego profesora języka polskiego Państwowego Gimnazjum Żeńskie-go im. Marii Konopnickiej w Łomży, członka-seniora naszego Towarzystwa, kol. Stanisława Dębowskiego. Sądzymy, że jego rozważania mogłyby zapoczątkować cykl publikacji na temat łomżyńskich dziejów. Kolega Stanisław Dębowski posiada w swym dorobku literackim wiele ciekawych opracowań dotyczących dawnej Łomży i mogących zainteresować Waszych czytelników.

Uważamy, że przez współpracę z Waszą redakcją nastąpi ożywienie działalności Towarzystwa na terenie Łomży i całej Ziemi Łomżyńskiej.

Mgr WOJCIECH
ANTOSIEWICZ
Przewodniczący Zarządu
Głównego
Towarzystwa Przyjaciół
Ziemi Łomżyńskiej

★

Łomża i cała łomżyńska ziemia od dawna nie dawała o sobie zapomnieć tym, których los zmusił do emigracji, oraz wiązała na zawsze z sobą tych, którzy napływali tu z innych stron i stawali się jej synami.

Rozproszeni po całym świecie łomżyniacy poodzukiwali się w nowych środowiskach i łączyli razem nie tylko dla wspólnego przeżywania wspomnień. Wszyscy pragnęli uczestniczyć w powojennej odbudowie swego rodzinnego gniazda, utrzymać z nim stałą więź, a także cieszyć się jego rozkwitem.

Ponieważ od lat największe skupisko łomżyniaków istniało w Warszawie, tu właśnie zorganizowano i zarejestrowano Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Tu też od dziś mieści się Zarząd Główny Towarzystwa, a w innych miastach, w tym również w Łomży, jego lokalne oddziały. Jednakże ta struktura organizacyjna nie odpowiada dzisiejszym potrzebom życia. Towarzystwo wprawdzie odbywa swe statutowe Zjazdy w Łomży, zbiera i opracowuje materiały związane z przeszłością tego miasta, ale w jego działalności jest ziarno niedosytu. Coraz częściej pojawia się przekonanie, że nie w Warszawie, lecz w Łomży, a więc w bezpośrednim codziennym kontakcie z życiem miasta, ze jego władzami i mieszkańcami, ożywić się może, pogłębić i utrwalić działalność Towarzystwa. W związku z tym w Łomży powstanie istnieć nie tylko najliczniejszy, ale także najbardziej aktywny i przężny jego ośrodek, a więc i Zarząd Główny.

STANISŁAW DĘBOWSKI
członek-zalążyciel
Towarzystwa Przyjaciół
Ziemi Łomżyńskiej



Samochód, jak zawsze, zaparkowałem nad rzeką. To wielka pani! Jesienią zalewa ogromny obszar — i trwa do wiosny. Niekiedy można więc łowić pokażne rybki nie wylazając nawet z łódki.

Wszystkie grodzkie znane są już od XIII w., — z nadeń książęcych naszych sympatycznych Piastów. Tu, w K. stolicy gminy, jest kościół, szkoła, muzeum, pałac, park, pomnik. Bardzo dawno pracowali nawet młyn, a jeszcze wcześniej istniały małe fabryczki i przetwornice. Samych sklepów mięsnych było 27. Teraz jest jeden.

Gdzież to? Stara Gosaniowa mówi tak: — Zła nie ma. Ludzie je wymyślili, by usprawiedliwić swą głupotę. By rządzić ludźmi, trzeba się na nich dobrze znać i dopiero kierować następstwami ich dążeń. Przekonania i cele muszą płynąć z serca. Ja stara komunistka. Siedziałam przed wojną dla partii. Walczyłam w czasie wojny. Komuniści nie powinni wyszerzać się, opuszczać swojego warsztatu. Dobro to umiar. Przesadą jednak było zabijanie wolnego, samodzielnego i niezależnego warsztatu pracy, zabijanie drobnej wytwórczości, drobnego przemysłu prywatnego, handlu, tak jak przesadą jest, dźwigiem idźbła podnoszenie. Rolnikami kieruje Warszawa, która jest „za morzami, za górami” i pojęcia nie ma o tym, co oni robią. Była reforma, ale natychmiast nastąpiła jej zaprzeczenie: wieś produkcyjna i PGR-y. Było uprzemysłowienie kraju, ale spóźnione o pół wieku. Wzrasta ludność świata. Należy wykorzystać każdy zagon. Rozwijanie przemysłu w strefie klimatu umiarkowanego, w połowie XX

ważniejsze, odpowiadał milczeniem. Patrzał na mnie długo, jak konający na łożu śmierci. Patrzał i po swojemu, jak starzec, zaciskał usta, aż wargi robiły się zupełnie białe. I tyle wtedy miał do powiedzenia każdy autentyczny komunist.

Być w Rzymie i... Zaglądam do muzeum. Archeologia. To tu jest kamień z łamanym krzyżem — znakiem wiecznego ognia. W starocerkiewny, mało czytelny napis, nikt nie wierzy. A brzmi, po przetłumaczeniu, tak: Ja, po koronacji Mieszka, syna Bolka, przytomny w domu pana mego Bolka, syna Bolka, zapisałem słowa komesa Prokuja, syna Prokuja komesa, o prawie do tronu pana mego, Bolka. Przez wieki przewodzili nam wybrani na wiecach starcy, zwani popielami, ojcami, których po nadejściu Mojmiry wzmocnili dzielni wojewodowie i oni obrali sobie za przewodnika bohatera Władysława, zwanego Piastem lub Włastem. On to odparł Mojmirę, pokonał Kujawian, zburzył ich Kruszwicę na lewym brzegu świętej Kupały i z Poznania starego przeniósł siedlisko swoje do Gniezna, co się wyklada: miejsce Kneza. Tam Piast gniazdował aż do śmierci. A w roku śmierci jego były wielkie susze i palita się puszcza, tracąc wszystko. Smok ognisty zatrzymał się nad brzegami wielkich rzek. Wtedy to Rościszew zdobył Kraków i ochrzcił, topiąc batwanów w Wiśle. Panowanie prawego Siemowita, zwanego Wiesławem, było stawione i on sam zginął w obronie wiary naszej od Węgrów i spoczywa w Nitrze, w grocie grobów, krzyżem świętymznaczony. A Lech był wielki i stawa jego wielka, bo umocnił siłę ojców i rozszerzył ją i imię jego stało się zawola-

i wiary. „Hamlet” to świętość wielkiej sceny. Tu wystarczy jedyna komedia o prostactwie, by samochód pasował do głowy, grzbiet do futra, but do nogi, kapelusz do twarzy itp., by wróciła skromność, naturalność, a odeszła, ośmieszona w końcu, współczesna forma dulszczyzny!

MIROSLAW PINDRAL

Żdźbło na dźwigu

Mówi sekretarz gminny: — Chcesz go zniszczyć? Daj mu władzę! Tak kpiono z von Papena, który ułatwił Hitlerowi drogę do władzy w Niemczech; Tak



wieku, jest nieporozumieniem, utopią. Wyniki są teraz takie: wieś wyludniona i stara. Mówiło się, że maleje produktywność Polaka w kraju. I mała, bo statystycznie jeden pracował na stu nierobów. Mała, bo zabrakło zapobiegliwości i ciągłego czuwania, bez czego nie ma sprawnej i wydajnej produkcji. Przykład z mojego podwórka: koń był chory, leczylam i chodziłam przy nim do upadłego, a w państwowym stajni już dawno by zdechł. Był tu taki kierownik, co oprządał swoje i państwowe; swoje karmił, tamte przepadały. Wiosną świnie odnalazły się, zamarzyły w gnojówce. Rolnik samodzielny jest niewybaczalny. Był tu na wieczór autoriskim Władysław Broniewski, wielki poeta i wielki człowiek. Znalaz go przed wojną. Teraz był inny, zmieniony: serce mi pękało. Nie szukajmy Hamletów! Są wśród nas. I on nim był. Biedne sumienie, szamotało się w pajęczynie. Na moje pytania, dla mnie naj-

niem wielu narodów. On ci miał syna i Siemowita, zwanego Mieszkiem i ten ci miał syna o tym samym imieniu. Obaj Mieszkiowie wytracili Popielów i nie kazali wybierać nowych, by pozyskać w ten sposób południowych Chrobaków i Serbów, od których wiara święta utrwaliła się. Lech i obaj Mieszkiowie są prawi. (...) Ale za prawego Bolka, syna Mieszka, stała się niesprawiedliwość, bo urzędy w kraju Polan sprawowali bardziej znający się na rzeczy Chrobaci i Serbowie. Od lat wielu rzeki płyną krwią i zaburzenie jest wielkie w kraju Po an. Mieszko zagarnął władzę dla poahubienia Polan i wypędził prawego Bolka, który sprawiedliwieścią oślepiał własnego ojca i stał mu się nieprzyjacielem, ale prawy jest i kraj będzie kłótnią arcybiskupa obłożony.

Miejscowa szkoła zajmuje część pałacu. Uczy tu i syn Gosaniowej. Jest w dobrym humorze. Jego kółko dramatyczne pokusiło się na „Hamleta”.

Jestem zły, jak na cały polski teatr, który zabawia się w inscenizacje lub blazenady bez ducha

kpiono w Anglii po pierwszej światówce z Lenina, że chce w praktyce zniszczyć piękne idee Marksa. Jestem optymistą. Jeśli tylko zachowamy nietykalność cielesno-moralną i utrwalimy ją w społeczeństwie... Nie zawioda idee. Zawinił upadek moralny. I tak myśli cała partia w naszej gminie. Wierzę w socjalizm w Polsce, byle był autentyczny.

Stary Kocan nie miał łatwego życia. Ale ma silną wolę. Tu będzie studnia — powiedział. I była. Poszedł do fabryki, by zapracować na nią. Ciężko, ale uczciwie. Położył żylastą rękę na kolanie i tak siedzi na ziemi pod chałupą, majestatyczny, wielki w swej biedzie. Zna umierać. Ludzie nakarmia. Pole czeka. Córka poznała miejscowego pastucha, zrobił jej bachora w krzakach nad rzeką i — siedzą w mieście. Nie przyjada, wystydza się ojca, bo on na nich — jak oni na niego „prostak”, „ciemniak” — „tragarze”, „obiboki” mówi. Gdy przyjechał do nich, trzymali go w łazience, by nie przeszkadzał. Wiadomo, miastowi! Później uciekli

syn. Ten miał starszą od siebie dra-pichę. Córka nazywała ją starokulochą. Przyjechała do miasta kilka lat wcześniej, dorobiła się. Stąd ta zazdrość i nienawiść wzajemna. Do tej pory skaczą sobie do gardła, bo każde chce mieć więcej. Stary dotąd parska śmiechem, gdy wspomina córkę. Kupili samochód. „Migoce mosz dobre?” „Tak” — odpowiedział zięć. „A wody wloles”.

— Raz nie wloł. Zagotowała się. Pchali długo. Cy to takie wstydu nie mo? Na gnoju temu pasuje. Ale założył piękny kapelusz, futro, i pani wielko! Boki zrywać. Roz są, ale zmykają. Pytom o powód; jadą na teatr. A co to, pytom. Na scenie, grzmia mi. A jo im: stary i ciemny jestem, ale nigdy na teatr nie słem, ino do teatru. Otworzyli japy i pojechali. I niech ich diabli niesia! Teroz on w magazynie robi, ona w biurze. Księgowo od miotły jest. Wyrobili się, nie ci sami. Tylko z tym olejem w głowie marnie. Po mojej śmierci ktoś to weźmie. Moje nie. Trudno...

Wypracowanie. Temat ode mnie: „Idealn rolnika w naszych oczach”. Piszą: klasa siódma, ósma i wszystkie klasy szkoły rolniczej. Zajęcie dla mnie na całą noc.

„Należało zacząć od »Cierpień młodego Wertera«. Do ideałów trzeba moralnie i intelektualnie dorosnąć, by nie zniszczyć i nie ośmieszyć pięknych dróg do socjalizmu. Reforma była wprowadzona i zniszczona przez politykę rolną. Jak można budować prymitywniejsze nowe na bogactwie duchowym starego?”

„Pozory mylą. Tylko brzydkie kaczątko wyrastają na wspaniałych ludzi. Czy brzydkie kaczątko? A może brak znajomości ludzkiej natury? Myli się tu szkoła bardzo często, jak wynika z młodości Balzaka lub np. Henryka Manna; mylą się ludzie zawsze, ponieważ mając prostaków i myląc megalomanów z geniuszami... Na wsi taki człowiek jest zwalczany, jeśli jest sam i nikt go nie broni w rodzinie.”

„Chłop nie musi być ministrem lub uczone, by być im równy. Wszyscy ludzie są równi i godni szacunku. Nie ma gorszych i lepszych, uprzywilejowanych i tolerowanych, ale każdy musi posiadać dojrzałość umysłową i moralną na poziomie swojego zawodu. Prostakiem się staje, gdy przymierza się do wartości, do których nie dorasta, gdy udaje lub chce udawać kogoś i zapomina o swym miejscu na ziemi. I to jest źródłem naszych wypaczeń, błędów i tragedii.”

„Dawniej, jak mówił dziadek, kłaniano się do pasa przed każdym, kto nosił krawat i ładne ubranie. Dziś nie ma tego. Ubieramy się, mówimy — jak w mieście. Dzięki środkom masowego przekazu i przemianom ludności. Mój dziadek dotąd jada na progu, siedząc okrzakiem, prosto z gara, drewnianą tyką. Ja muszę mieć stół z serwetą, błyszczącą tykę i czysty talerz.”

„Mój ojciec buduje chlewnie. Musi mieć na to mnóstwo opinii. Dlaczego przez takie sito nie przechodzą ludzie idący na wysokie godności? Komputer tu zawiedzie, bo należy docenić wartości charakteru i uzdolnienia, czego maszyna nie odczuje i czego nie da się przełożyć na język matematyki.”

„Boryna nie rezygnuje z własnego szczęścia, jak król Kazimierz Wielki, kocha swą ziemię i uprawia ją całym sobą. Od tej ziemi wywodzi siebie, swoje dzieci, służbę i ród człowieczy. I tak będzie, jak długo istnieć będzie Polska na swej świętej roli. Ciskało się słowami i zarzutami. Ale to infantylizm, właściwy wszystkim czasom. Młodzi też krzyczą: jesteśmy mądrzy i lepiej to zrobimy. Tak. Ale co z tego wyjdzie? Macie wykształcenie? Wszyscy je mają, z tych samych szkół, książek i gazet. Macie zdolności? Wszyscy je mają. A tu liczy się nieprzeciętność. Trzeba mieć jeszcze to, czego nikt nie ma: potęgę osobowości, dojrzałość moralną, bogate doświadczenie życiowe i zdolność uogólniania. (...) A Boryna to uregulowana rzeka, użyteczna, pewna, nigdy nie wylewająca ze swojego koryta.”

MIROSLAW PINDRAL

Fot. GABOR LORINCZY
Reportarz nadesłany na konkurs „Kontakty” i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej „Boryna 81”.





Otworzyć oczy za wszelką cenę, bo w świadomej wyobraźni realizuje się marzenie, odblokowywanie wielkiego stresu. Przemknął obraz samouniwersowania. I czarno — czarno — czarno, nie ma nic. Nie! Otworzyć oczy, niech będzie to, co jest, nawet w na gorszej formie, ale niech przecz niczego; będzie życiem, a ja chcę żyć za wszelką cenę.

Otworzyłem oczy, znowu światło oblało sprzęt. Leżałem nieruchomo bojąc się ponownego zamknięcia oczu. Wzrok miałem skierowany na sufit. Nagle odwróciłem głowę w dół, bowiem odniosłem wrażenie, że spadnie na mnie i zgniecie moją świadomość, zmiążdży nadzieję na życie.

Na dole spała znajoma sylwetka. Leżałem na pięciowym metalowym łóżku, wcisniętym w wąskie, długie pomieszczenie. Pomyślałem, że muszę szybko wstać, wybiec i koniecznie coś zrobić. Zeskoczyłem cichutko, stanąłem i... przez chwilę chciałem móc płakać. Chciałem móc wrzeszczeć, drzeć się tak, jakbym się dopiero narodził albo usiłował zmusić rodziców do przychylnej decyzji; chciałem chociaż, wycić, lkać lub kwilić. Stałem jednak jak ktoś pozbawiony narządów do tych czynności.

Odwrociłem się w stronę światła. Zobaczyłem małe okno, wybite w grubym murze, poprzecinane pasmami prętów. Pomyślałem szybko: „To te same kraty, co wczoraj”. Odwróciłem się; grube drzwi bez klamki miały tylko mały wziernik. Te same, co wczoraj. Jeszcze jeden ruch w bok i — ściana, ta sama, przed którą stałem wczoraj i robiłem ostatni zarejestrowany świadomością rachunek sumienia. Potem przypomniałem sobie fragment, nie wiem nawet — czego: „Bo jest życie piękniejsze i nowe, gdzie żyć warto i umrzeć warto”.

Pozostało cofnąć się kilka kroków i zmobilizować energię, po czym z rozbiegu uderzyć głową w ścianę i zakończyć to, co zostało mi dane z miłości — życie. Cofnąłem się i... rozległ się dzwonek. Wszyscy rzucili się do drzwi i utworzyli na korytarzu apelowy dwuszerąg. Popędzany instynktem — zająłem swoje miejsce. Umierając z własnej woli mogłem spełnić swoje oczekiwania, w walce ze strażnikiem zginąłbym niegodnie, bo zupełnie przypadkowo. Byłem pozbawiony decydowania o swoim losie, miałem obowiązek żyć. Decyzją sądu rejonowego, a potem wojewódzkiego, pozbawiono mnie na blisko cztery lata wolności. Byłem przestępcą.

Wczoraj u kresu dnia nie miałem siły przerwać swego losu. Odczułem strach! Nie przed czynem, lecz przed jego konsekwencjami, gdyby okazał się nieskuteczny.

Teraz, wczesnym rankiem, miałem nowe siły do tego i mocne postanowienie samouniwersowania, ale zregenerowany wypoczynkiem umysł świadomie przywołał wspomnienia, jakby ostatnie widzenie drogi życiowej przed czarną plamą, gdzie nie ma już nic. Stałem więc i toczyłem walkę wewnętrzną, w której raz górę brał instynkt życia, raz pragnienie śmierci. One to paraliżowały wszelkie ludzkie odruchy — kapitulacyjne lub obronne. Nie mogłem więc śmiać się, bo śmiech to życie; nie potrafiłem uronić ani łzy, choć zagryzałem język do krwi, bowiem płacz to — śmierć.

Co za okropny sen? On nie może przecież trwać, bo doprowadzi mnie do utraty zdolności reagowania na sytuację, w jakiej się znalazłem.

Sadystycznie poinformowano mnie, jak szybko się wykoilem i jakim zostałem przestępcą, a czyn zakwalifikowano do szczególnie niebezpiecznych. Dowiedziałem się, że byłem blisko dwa tygodnie poszukiwany listem gończym, nim zostałem osadzony wśród ludzi, skuty i wtrącony w piekło. Poszkodowany był tylko jeden człowiek o olbrzymim doświadczeniu życiowym i z dużą znajomością prawa; nabył ją w toku procesów sądowych, w których uczestniczył jako również poszkodowany lub oskarżony. Przy czym jednej z tych ról nie uważał za gorszą od drugiej. Niemal zawsze wychodził zwycięsko z sali sądowej.

Pierwszy mój kontakt z panem K. przypadł na lato przed VIII klasą szkoły podstawowej. Były wakacje; młodzieżowa fantazja poniosła mnie na festiwal do Opola. Podczas tej kilkudniowej imprezy sporo młodzieży nie miało noclegów.

Pan K. zaproponował pokój. Po siedzeniu z trzema kolegami; najstarszy miał 18 lat, my po 15. W eleganckiej kawalerce szybko pojawiła się wódka na stole. Kiedy wypiliśmy po kieliszku, pan K. wyjął zdjęcia pornograficzne. Ogarnęło nas olbrzymie podniecenie. Wspaniałe słownictwo pana K. budziło zaufanie; podawał się za adwokata.

O trzeciej w nocy okazało się, kim jest nasz gospodarz. Najstarszy z nas wyciągnął finkę i zagroził panu K. Ten przestraszył się i już nie zabierał się do kolegów. Rano opuściliśmy pokój.

Następnego dnia pan K. zaproponował mi spotkanie w kawiarni „Teatralna”. Poszedłem. Przecież mi z ludźmi nie nie mogło mi się stać, a pogadać można.

Okazało się, że pan K. zebrał wszelkie dane o mnie, o szkole, domu, stosunkach między rodzicami, jak prawdziwy adwokat. Później przez rok była cisza. Nagle zjawił się i — wykorzystując moje drobne nieporozumienie domowe, konflikty szkolne oraz nieporadne błędzenie wśród rówieśników-myślicieli — zadziałal jak dobry wujaszek: dał mi

do tego stopnia, że czułem się w mu obco. Pewnego dnia wyjechałem. Pan K. tylko na to czekał. Szybko mnie odszukał, złożył wyrazy uznania za bardzo rozsądny krok przedstawił plan współpracy. Żadnych obowiązków; życie bez poczucia braku czasu; bez pośpiechu. Spotykał się z różnymi ludźmi, prowadził ciche rozmowy, później chyłkiem uciekał. Naobiecował, przedstawił wachlarz możliwości i ginał. Był wielkim oszustem. Gardziłem nim, ale nie miałem odwagi wracać do domu, aby naprawić sytuację rodzinną i szkolną.

Miał szeroki gest i fałszywe ambicje oraz diabelski tupet. Rzadko np. w ekspresie kupował bilet. Zaprezentował mi jeden swój numer. Wsiadłszy latem do wagonu restauracyjnego, on gestem awolował kelnera, zamówił trunki i posiłki. Przyszedł kontroler. Pan K. oświadczył, że w „jedynce” mamy bilety, a wyskoczyliśmy na posilek. Rewizorzy nie upierali się na nasz powrót do przedziału. Całą drogę jedliśmy i piliśmy. Gdy zbliżaliśmy się do dużej stacji, pan K. wyszedł na papierosa, a po drodze poprosił

wiednie uprawnienie, o czym stale zapewniał.

Wreszcie przygotował plan włamania do swojego mieszkania, aby mieć podstawy do nierozliczenia się ze współnikami — wytwórcą biżuterii z bursztynu. Współpracował z nim bez żadnej umowy prawnej. Nie chciałem na to przystać, więc pan K. dał mi do zrozumienia, że mnie zniszczy. Twierdził, że jest jak Pan Bóg: za dobre — wynagradza, a za złe — karze, i że od jego woli nie ma ucieczki.

Podjąłem decyzję o ujawnieniu jego działalności. Pan K. już wcześniej pokazał mi artykuły, na mocy których — za współpracę i pomoc w przestępstwach — mogę otrzymać wysoki wyrok. Zagroził też, że już ma podstawy do wytoczenia mi procesu o zwrot kosztów utrzymania za blisko 6 miesięcy. Ze strachu odłożyłem wykonanie decyzji.

Natychmiast wypełniłem cały plan pana K. Nawet znalazłem przypadkowego współnika, by miał planowo kogo ścigać po śladach. Final był jednak inny.

Bez żadnych obaw pan K. podał milicji wszystkie moje dane, opisał

czyli tragiczne perypetie ofiary oszusta



pieniądze. Potem dostawałem ich więcej — z wdzięczności za wprowadzenie w środowisko młodzieżowe. Działal w nim wszechstronnie, jako przyjaciel i mecenas, który wiele może. Ostatnie opory łamał obietnicą wizytacji w szkole. Wobec mnie się chwalił, że zna wszystkich „kotusiów” z fajnymi członkami. Wszyscy jego wybrańcy zaprzeczali, gdy z nich żartowałem, ale regularnie do pana K. chodzili. Pan K. zapraszał ich na spotkania w hotelach. Wynajmował też panienki do miłości z „kotusiami” i sam uczestniczył w tych оргiach (impreza za 500 złotych). Jeden z chłopaków na to nie przystał, został posądzony o kradzież portfela. Świadcami miała być panna opłacona i używana przez chłopaków. Dyskretna rozmowa z rodzicami i pewna kwota załagodziły całą afere.

Podobne incydenty były pasją pana K. Ja nie byłem obiektem jego upodobań. Obrął mnie za narzędzie do grubszych oszustw. Szkolne kłopoty doprowadziły do porzucenia przeze mnie kilku szkół zawodowych. Atmosfera rodzinna pogorszyła się

o piwo do stolika. Pociągnął mnie za sobą. Wsiadłszy na stacji. Nie chciałem być szefem tego wagonu restauracyjnego! Dla pana K. taki numer był tylko gimnastyką psychiczną.

Przez długie miesiące, bez kontaktu z rodziną, towarzyszyłem panu K. w jego sukcesach i porażkach. Najpierw dobrowolnie, a później z bezwzględny posłuszeństwem. Najczęściej występowałem w imieniu tajemniczego pana K., który miał różny sposób zdobywania gotówki. Już i mnie ludzie zaczęli deptać po piętach. Pan K. przy pomocy szantażu kierował moim postępowaniem.

Każdego dnia starałem się znaleźć wyjście z tej sytuacji, lecz równocześnie popadałem w stan, którego nie rozumiałem. Coraz mniej byłem sobą, coraz bardziej — bezwolnym narzędziem pana K. Nie mogłem już uciec od niego, bo zbyt wiele o nim wiedziałem. Za jego przyczyną — sumiennego akwizytora „Polleny” — w kilku sklepach Śląska stwierdzono duże nadmiary towaru nie zaksięgowanego. Ja wozilem te bagaże w przekonaniu, że pan K. ma odpo-

paszytniczy tryb życia, niebezpieczne skłonności oraz jego próby przywrócenia mnie rodzinie, a w finale — kradzież kluczy i włamanie do mieszkania, w którego wyniku poniosł straty wysokości 250 000 złotych, głównie w wyrobach z bursztynu. Kiedy chciałem mu zwrócić — zgodnie z umową — wszystko, dowiedziałem się, że spotkamy się w sądzie.

Dalej zacząłem zachowywać się jak przestępca. Ukrywałem się, ale dzięki błyskotliwości pana K. zostałem ujęty. Po dwóch tygodniach błędzenia po kraju trzech mężczyzn — krećło mi ręce i założyło kajdanki. Turyści zwiędzający Krakowski Rynek mieli wrażenie, że oglądają karykaturę filmu. Zajeżdżał radiowóz i po chwili znalazłem się pod kluczem.

Liczyłem naiwnie, że gdy opowiem wszystko, pan K. zostanie zatrzymany. Ale on grał w tej komedii rolę mocno poszkodowanego i podstępnie oszukanego. Oddałem wszystko; nie było tego nawet na 80 tysięcy. (Cdn.)

Andrzej z Elbląga
Fot. GABOR LORINCZY

— Nie mieliśmy zamiaru tworzyć tu przytułku dla niedorajdów — potwierdza Marek Humeńczuk. — Przychodzili ludzie odważni, ambitni, chcieli tu wnieść coś własnego. W końcowym rozrachunku wielu z nich ma jedynie żal i gorycz, poczucie, że przez te dwa lata nie żyli, lecz wetęgowali. Trudno bowiem bez dachu nad głową i realnej nadziei na takowy poświęcać się całym sercem pracy zawodowej, zostawiając trochę czasu na działalność społeczną. ZSMP nie chce rezygnować z walki o zatrzymanie tych ludzi. Są pomysły na częściowe przynajmniej rozwiązanie sprawy mieszkań. Na szczęście mamy trochę ordyników: prezesów spółdzielni mieszkaniowych, dyrektora ŁPB, naczelników gmin i prezydenta Łomży Żywym nadzieję, że dołączą inni. Można uzyskać trochę mieszkań rotacyjnych na najwyższych kondygnacjach wieżow-

Wzrost liczby absolwentów szkół wyższych z akcji okazuje się niespodziewanie dość duży, bo dziś już nawet w Wydziale Zaopatrzenia i Spraw Socjalnych tym słynnym wiadomo, kto w tym słynnym roku przyszedł do szkoły, a kto z akcji. Wiadomo również, że ci ludzie gdzieś są. Wiadomo też, że o ile w roku 1976 zamieszkało 238 osób z wyższym

requisiem

dia lomzyńskiej szansy

Zresztą i przedtem, między sierpniem a grudniem, dyrekcja mogła w wewsztych mieszkaniowych zadysponować jedno, a załoga — uchwalić coś zupełnie innego.

Wypowiadając się wówczas w radiu — kontynuuje Antoni Chojnowski — wyraźnie stwierdzilem, że mieszkankie wprawdzie często jest szanowane dla kandydata, i dla wojewódz-

Jak długo jednak można cho-
wać głowę w piach? Niedo-
strzeżanie problemów nie lik-
widuje ich istnienia. Wręcz odwrot-
nie. Jest jeszcze nadzieja, że młodzi
sami sobie pomogą. Marek Humeń-
czuk, społeczny wiceprzewodniczą-
cy ZW ZSMP nie bardzo wie,
jak polknąć tę żabę. — Jest to
dla mnie ogromnie żenujące, bo bar-
dzo mocno zaangażowałem się w
akcję „Łomza twoją szansą”. Nie
przypuszczałem nawet, że realizują
inne, mniej sympatyczne haselko:
„Przed każdym stoi szansa zrobienia
z siebie szpianszara”. Nietrudno so-
bie bowiem wyobrazić, jak się czu-
je, gdy spotykam znajomych i mniej
znajomych ludzi, którzy ściągali tu
zawsząd, a teraz nie wiedzą, gdzie

Przypominam sobie, jaka miła atmosfera towarzyszyła tej sprawie: z sympatią odnosił się do niej i władze, i społeczeństwo, i prasa. Redaktor Kamiński z radia zapytał mnie wtedy podejrzliwie, czy na tej akcji się wszystko nie skończy. Odpowiedziałem, że to zależy nie tylko — a nawet: nie przede wszystkim — od organizacji młodzieżowej. Powiedział, że w takim razie spotkamy się za dwa, trzy lata. Myśle, że teraz, niestety, nadszedł czas na odpiewanie requiem dla tej imprezy, ale kto powinien zamówić mszę żałobną — nie potrafię odpowiedzieć.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LŐRINCZY

penetracije



rozdział I

— Miłości mi trzeba, słońca, światła, gwiazdy przewodniej! W tobie jednej znaleźć je mogę! Ty mi dasz szczęście prawdziwe. Przy tobie zapomnę o bólach i smutkach. Pójdźmy zwalczać ciernie życia ręką w rękę, wspólnie, jak dwie lzy oka, dwie pieśni westchnienia!

Słuchala. Twarz jej mieniła się zdumieniem i błogością. Pierwszy to raz w życiu mężczyzna przemawiał do niej w te słowa.

A książę pogodnie płynął po niebie, a drzewa cicho szumiały, a po głuchych ulicach Rembeline ani jeden wóz turkotem swym nie oznajmiał życia miejskiego. Tylko przez współotwarte okna parterowego domu przemykał się słaby promyk przyciemnionej lampy, tylko od czasu do czasu dolatywał szept modłów przesuwającej różaniec niemłodej już kobiety, której wtórował równy i monotonny skrzek żab, kąpiących się u brzegów lustrzanych fal bystrej zazwyczaj Narwi.

Ta łuba cisza, ten półcień w ogródku, ta siedemnastoletnia Zosia, śliczna ze swymi zalazanymi szczęściami i bojaźnią oczkami, ze swą niespokojnie falującą piersią i z rączką miękką, lubo noszącą na sobie ślady igielki, wszystko to mogło podniecić wyobraźnię najmniej krewkiego młodzieńca.

Więc Stefan mówił dalej: — Kocham cię, Zosiu, jak nigdy nikogo nie kochałem dotąd. Kocham i ożenię się z tobą, bodajby mi przyszło zaprzeczyć się własnej rodziny, bodajbyśmy mieli uciec na koniec świata. Jestem zdrow i silny, zapracuję na chleb dla nas obojga i dla twojej mateczki.

— Czy pan to szczerze mówi, panie Stefanie? Bo panowie z arystokracji... tak, z arystokracji, lubicie często balamucić biedne panienki.

— Z jakiej arystokracji, Zosiu? Czyż w takim mieście, jak Łomża, nie jesteśmy sobie wszyscy równi? Ja tylko pojmuję arystokrację rozumu i serca!

— Tak to się mówi! — westchnęła Zosia.

— Tak się mówi i tak się czuje — odparł Stefan z zapalem.

— Nie wierzę panu! Coby zresztą ludzie na to powiedzieli.

— A cóż nas ludzie obchodzi? Pogadają i przestaną.

— A pańska rodzina?

— O! Już ja ją przerobię. Z początku będzie trudno, ale potem... potem wszystko się da zrobić! Prawdziwa miłość nie zna przeszkód.

— Czy tylko prawdziwa?

— Jak to? Jeszcze mi nie wierysz? Jakichże więc pragniesz dowodów?

— Więcej czasu, panie Stefanie — odparła Zosia gorączkowo wyrzuciwszy rękę z jego rozpalonej dłoni — wszak znamy się zaledwie dwa tygodnie!

Co mówiąc szybko odeszła w stronę współotwartego okna lepianki.

— Która to godzina, mateczko? — spytała, przyciskając rozpaloną buzię do szyby okiennej.

— A bodaj cię, jakież mnie przestraszyła! — odparł głos z wewnątrz.

— Godzina już blisko jedenasta. Wracajcie państwo do domu. Dzieci już dawno śpią. Jutro trzeba będzie rano się zerwać. Radczyni przysłała suknię do przeróbki, bal wydaje.

— Słyszysz pan, panie Stefanie — ozwała się Zosia — jutro bal u radcostwa i pana pewno poproszą!

— A ja nie pójdę! — odparł Stefan.

— E, dasz się pan namówić!

— Gdyby pani tam była.

— Będzie, ale pod oknami przypatrywać się tańcom, jak sługa! — szepnęła z bólem Zosia, odchodząc ku furtce ogrodu.

Stefan przygryzł usta. Na progu domu ujął ją zrazu za rękę.

— Panno Zofio, Zosiu, czy mogę mieć nadzieję?

— Nie mówmy o tem, panie Stefanie! Dobranoc!

— Do jutra tedy! — zawołał, namiętnie przyciskając do ust rękę ukochanej, poczem szybko wybiegł na ulicę.

Gdy Zofia powróciła z ogródka do domu, matka z córką przez jakiś czas milczały. Obie pragnęły zwierzeń, obie nie wiedziały, jak zacząć.

— Mateczko — ozwała się wreszcie Zosia — jak się mamie Stefan podoba?

— A cóż? Bardzo przyzwoity chłopiec, nieźle ma w głowie i takie ułożenie! Zaraz znać dziecko z dobrego domu. No a ty, cóż o nim myślisz, Zosiu?

Rozpoczynamy druk — bez mała stuletniej — powieści, którą w roku 1885 publikował „Kalendarz Nadnarwiański”. Znajdziemy w niej i wielką miłość, i megalomanię, i zdradę, i wielki dramat dziewczyny z tzw. niższych sfer. „Łomżnianka” powstała 24 lata przed „Trędowatą” (1909), która doczekała się aż 13 wydań, trzech realizacji filmowych i tyluż inscenizacji teatralnych, „Łomżnianka” takiego rozgłosu nie zdobyła, choć — być może — z niej czerpała natchnienie Helena Mniszkówna.



— Ja, mateczko? Ja... nie wiem... nie umiem sobie zdać sprawy z tego, co się ze mną dzieje. Ciągłe mi stoja w pamięci jego słowa.

— Jakże słowa?

— On mi się już oświadczył, mateczko.

— Oświadczył? Przeczuwałam to! To wielkie szczęście dla nas! Nareszcie powrócą może dawne czasy jak za śp. twego ojca. O, bo to były dobre czasy! Mieliliśmy dom własny i wszędzie nas przyjmowano, bywałam na balach, grałam w teatrze. Gdy tymczasem dziś... Dziś myśm bardzo biedni. Zosiu — starej lzy ukazały się w oczach.

— Ale, mamusiu, czy można mu wierzyć? Ja się czegoś boję... Może jego rodzice, rodzeństwo, znajomi będą mieli co przeciwko temu!

— O, wielkie rzeczy! Czyż to pierwszyna! Taki sekretarz ożenił się ze swoją kucharką i nikt nie mówi, Taki komornik wziął za żonę ładacznice i chodzi z nią wszędzie. Byłoby mu tylko starzy pozwolili, to reszta bajki! Ale jego matka to zła kobieta.

— O nie, mateczko, ona jest bardzo dobra! Mojej przyjaciółce Stasi wczoraj właśnie pożyczyła pięć rubli, w tajemnicy przed mężem...

— Tak? Ano, tem lepiej. Jutro zaraz dam na mszę świętą u Kapucynów, niech nam Bóg najwyższy dopomóż! Bo jak patrzę na ciebie, że ty po całych dniach i nocach pracujesz krwawo na nas pięciore, to do prawdy, aż mi się serce kraje. Ty, taka piękna, żywy portret ojca, który przecież nie był byle kim, przecież miał rangę radcy honorowego...

Przebudzenie się jednego ze śpiących w tej izbie dzieci zapobiegło dalszym wybuchom matki Zofii na cześć swego, pełnego zasług, męża. Stara zakrzętała się po izbie, a Zofia wpółrozebrana, z głową płonącą, z myślami o zamglonej przyszłości, rzuciła się na sofę. Przez kilka chwil widziała się na salonach pp. radcostwa, śniła, że sam gubernator prowadził ją pod rękę, że ojciec Stefana rozmawiał z nią długo, długo, a potem przy wszystkich nazwał ją swoją córką, że przy kolacji pan radca wznosił zdrowie narzeczonej, że potem... potem ślub im dawano w kościele farnym, a taki był tłok straszny, że się trudno było przecisnąć... Ona poprosiła na wesele ze swojej strony tylko jedną Stasię, no i wuj... woźnego. Ach, ten wuj, woźny trybunali!

Wzdrygnęła się gorączkowo i wstała z kanapy.

— Dobranoc, mateczko — rzekła, całując matkę.

— Spij dobrze, moje dziecko, i bądź spokojna. Może i dla nas nareszcie los będzie laskawszy!

Zofia znikła w głębi alkowy.

Po chwili w głuchej uliczce Rembeline ostatnie światło zgasło.

rozdział II

Stefan kochał Zofię, kochał ją bez pożytków, cynizmu, bez machiawelskich planów — wyzyskania jej cioty. Rodzina, ludzie nie istnieli



dla niego. Człł w piersiach dziwną błogość, zdawało mu się, że ziemia jest rajem, a on i Zofia aniołami. W marzeniach snuł fantastyczne plany przyszłych rozkoszy, strojąc w aureole bezwzględnej piękna wybrankę swego ducha — Zofię!

Głosy znajomych powołały go do życia. Ocknął się i rozejrzał wokół. Był już za ogrodem miejskim, na drodze bitej, wiodącej do Łomży. — Stefan! Patrzajcie, Stefan! A to skąd? — ozwał się otyły jego ciągający z litewską

— Ja was raczej zapytam, skąd się tu wzięli? — odparł przytłumiony Stefan, ściskając dłoń trzech spotkanych mężczyzn. — Szukam was od godziny i znaleźć nie mogę. Wpadłem wreszcie na domysł, że licha przyniosło was na spacer, i o-
tóż jestem.

— Żaluj, żeś nie był z nami — rzekł jeden z dwóch milczących dotąd młodzieńców. — Dopelniliśmy wyborów, najformalniejszych wyborów do straży.

— Zostałeś naczelnikiem od sikawek! — dodał drugi młodzieniec.

— Tak, tak! — powtórzyli inni.

— Nie żartujcie sobie. Więć na se-
rio rozpoczęły się już intrygi przed-
wyborcze?

— Ależ wszystko, co żyje w Łom-
ży, ma tylko na myśli straż ognio-
wą! Zebrano się nas u Diekmanna
coś z dziesięciu i dalej wybierają,
projektować...

— Nie masz pojęcia, jakim oży-
wieniem tchnęły rozprawy!

— Zwłaszcza że Zdzisio wdepnął
w dziesięć szklanek ponczu.

— A mnie — wtrącił Litwin — na-
brano przedtem na sznapsika, niech
im Bóg przebaczy.

— Ooo! Więć to była po prostu
bibka! — zawołał Stefan.

— Tak, ale bibka postępowała —
odparł Litwin z ironią.

— Któż został wodzem straży?

— Litwin, Litwin! — zawołał ra-
zem obaj młodzieńcy, obejmując oty-
łego jegomością.

— Winszuję i korzę się przed je-
go majestatem — rzekł wesół Ste-
fan. — Więć triumf zupełny. Ze sły-
ry naszych wielkości przepadli wszy-
scy.

— Wszyscy! Wieczna zagłada fe-
chom i głupocie.

— Wiwat! — zakonkludował Ste-
fan.

Rozmowa urwała się na chwilę. Cztery znajomi przelekli się słów

własnych. W przekonaniu osobistym

mogli oni być zajmować największe

stanowiska w mieście, czuli się zdo-
łani do czynów najpodnioslejszych, ale

tak jawnie stawiać czoło ludziom od-
dawien dawna używającym powa-
gi



Szanowny Panie Stanisławie, Sezon ogórkowy w pełni, a tymczasem, jak prasa długa i szeroka, ani jednego potwora, potwórka choćby czy straszdydelka albo nazwyklejszej blagi. Czyżby tak wszędzie było? Do nas, za rzekę, niewiele nowinek dociera, ludzie szykują się do zbierania płonów, ale u Pana chyba lepiej słyszeć i widać, więc proszę nam (Czytelnikom moim i mnie) napisać, czy wszędzie zapanował nastrój bezogórkowy. W czas tej sieriornej kanikuły pełna wdzięku widzi mi się stara, poeciwa Nessi ze szkockiego jeziora Loch Ness czy — równie sezonowo pojawiające się — doniesienia o nowej hipotezie rozwiązywania zagadki tunguskiej. Nic z tego. Nawet „Kontakty” ogłosily, cud przed sezonem, i to w sąsiednim województwie. Czy w Łomżyńskiem nie ma żadnych cudów? Jakby lepiej poszukać, to znalazłby się (i to niejeden) w każdej gminie. Nie wiem, jak u Pana, ale u nas, za rzeką, w telewizorze sama dekadencja i niefart. Sadysci tam siedzą albo inni obcokrajowcy, bo na obrazku tylko gadające głowy, powodzie, susze, katastrofy, czyli nie dobrego na świecie, więc lepiej nosa z domu nie wystawiać. Ale znów na „Dwójce” nadają najnudniejszą serial nowożytną Europy — „Sagę rodu Rius”, i to po najbardziej emocjonującym serialu, też zresztą z Hiszpanii. Jedyń pożytek z tego taki, że prądu trochę zaoszczędzimy. Szkoda tylko, że nie można odłożyć go na zapas, jak świece czy benzynie.

LISTY ZZA RZEKI

Łysi w Duchach

A'propos — zadziwia mnie. ciągle nasza specyfika: benzyny reglamentowanej „wychodziło” nam dwa razy więcej, niż wynika to z liczby pojazdów (w Warszawie napiwek za napełnienie baku wynosił w połowie lipca 200 złotych), butów dla dzieci i młodzieży produkujemy więcej niż w ubiegłym roku, ale w sklepach pustynia, i tak można dalej przez całą rzeczywistość naszą. Pamiętaj, jak w połowie lat sześćdziesiątych — dość starannie przeprowadzone — badania rynkowe wykazały, że wydawano u nas co miesiąc prawie dwa razy tyle pieniędzy, ile państwo wypłaciło obywatelom. Drastycznie zmniejszono wtedy planowany wzrost dochodów ludności z kiesy państwowej, co doprowadziło do znanych wydarzeń w grudniu 1970 roku, ale „drugiego obiegu” pieniądza nie powstrzymało, a późniejsza polityka społeczno-gospodarcza przyspieszyła gwałtownie i upowszechniła to zjawisko (pojawiały inne drugie rynki, powiększające nierówności i napięcia). Z pieniędzmi jest tak, jak ze

szczurami w mieście: nie widać ich, kiedy liczbą dorównują ilości mieszkańców, ale niewielki wzrost pogłowia gryzoni ponad tę proporcję powoduje zjawisko plagi.

No i widzi Pan, mnie też wciągnęło w całkiem niewakacyjne tematy, ale lato jest po to, aby odpocząć od wszelkich zmór, więc proponuję wziąć od nich urlop. Oto co zdarzyło mi się przed kilkoma dniami.

Do Duch trafiłem przez pomyłkę (piszę Duch, choć miejscowość nazywa się Duchy, ale u nas mówi się „do Sokół”), chociaż miasteczko zwie się Sokóły, i „do Duch”, kiedy te noszą nazwę Juchy, więc chcę ten zwyczaj uszanować), po prostu pomyliłem drogi. Przed laty, kiedy bywałem w tamtych stronach, zwiędziały zabytkowe zamki, Duchy omijałem, gdyż wiodła do nich zniszczona, stara szosa. Teraz, gdy zobaczyłem przed sobą dwie bliższe antracytowe wstęgi asfaltu, straciłem orientację i — zamiast nad jezioro Czochy — pojechałem do Ducha. Zorientowawszy się w pomyłce, zatrzymałem motocykl, aby spytać nadchodzących z przeciwnika ludzi, czy jadąc dalej dotrę do jeziora, czy też będę musiał zawrócić. Zbliżywszy się, kobieta i mężczyzna, nie zwrócili uwagi na moją prośbę o informację. Zauważyłem, że — mimo upalnej pogody — oboje mają szczelnie okryte głowy, a mężczyzna dłonią w rękawiczce zakrywa dolną część twarzy.

Weszli do pobliskiego domu i do-

piero wtedy, zza uchylonych drzwi, usłyszałem głos mężczyzny: — O co chodzi, proszę pana? — Wysiadłem z pojazdu. Huk zatrzaskiwanego drzwiczek wywołał głos mężczyzny: — Pan o coś pyta! — powiedziałem drogę do jeziora — powiedziałem zbliżając się do drzwi. — Prosto! Trzeba jechać cały czas prosto! — krzyknął człowiek i zamknął drzwi. Wróciłem do taradajki i, perkoczając błękitnie z rury wydechowej, pojechałem. Zatrzymałem się w zamku nad jeziorem.

Wieczorem po chudej kolacji, zabawiając się (niestety) szklanką herbaty, opowiedziałem bufetowej o dziwnym zachowaniu się mężczyzny w Duchach. — To ze wstydu — powiedziała. — Tam wszyscy są łysi. Mężczyźni i kobiety. Dzieci łysieją, zanim skończą dwa lata. Nie samowicie wyglądają, kiedy zgromadzą się na zebraniu albo w kościele: głace przy głacy, pała w pałę, jakby sto dzieciaków wypieło się gołymi pupami. — To rzeczywiście niesamowicie. Dlatego chodzą z nakrytymi głowami? — I w rekawiczkach, a niektórzy nawet twarze zasłaniają — bez zdziwienia tłumaczyła bufetowa — szczególnie jak który ma mocniejszy zarost. — Czego oni właściwie się wstydzą — zastanawiałem się głośno. — Włosów, włosów się wstydzą — wyjaśniła kobieta. — Dolać panu? — spytała. — A, wypiję jeszcze jedną — zdecydowałem. — Pewnie, dobra herbata, gruzińska — odpowiedziała.

HENRYK GAŁA

superfuturoelektromagia



Rys. ANDRZEJA PODULKI

S tało się to jakoś tak w drugiej połowie lat siedemdziesiątych; nasz światły władca, realizując swój program DYNAMICZNEGO Postępu i Rozwoju, sprawdził nad Wisłą z drugiego obszaru planicznej elektroniki, stres i *streap-tease*. Lud przyjął te importowane dzwiny jak pewne plemię murzyńskie latawiec Stasia w „Pustyni i w puszczy” — oddał się powszechnemu superfuturoelektronicznemu gusłom i zabobonom. W słowniku każdego Polaka pojawiły się nowe, cudacznie brzmiące, terminy. Zamiast powtarzać pewne wyrazy, związane ze specyficznie pojmowaną erotyką, mówiło się o komputerach i transzystorach. W nocnych rodaków rozmowach emocje budziła parapsychologia, metempsychoza i astrologia.

Znikające bez śladu statki i samoloty w Trójkacie Bermudzkim zaprzętały nas nie mniej od znikających towarów z naszych półek sklepowych. Co światlejsi dopatrywali się w tej analogii syndromu bermudsko-polskiego.

Publiczność była bulwersowana coraz to nowymi rewelacjami spod znaku parapsychologii. Oto niejaki Geller przesuwiał przedmioty bez ich dotykania i łamał spojrzeniem widelce: Wiktor Osiatyński opisał w

„Kulturze”, jak poruszeniami palców filipiński mag otworzył mu przedramię do kości i zasklepił na powrót, nie zostawiając najmniejszego śladu; Jerzy Putrament — chcąc pokazać, że nie święci garnki lepią — wyłusował inż. Ossowskię, którego PRL-u — Czesława Klimuszek, który patrząc na fotografie zaginionych osób, wskazywał ich miejsce pobytu (przdybał się obecnie taki jasnowidz dla odnalezienia „zaginionych” miliardów i osób, które owe miliardy „zagubiły”; zwłaszcza że zdjęć jest pod dostatkiem). W domach zaczęły wrować porcelanowe talerzyki, coraz częściej obcowaliśmy ze zjawami i strzygami.

Im głośniej krzyczały nagłówki gazet o sukcesie, im więcej ton surowki tryskało z telewizyjnych ekranów, tym myśli nasze szybciej oddalały się w sferę *science fiction*. „Czarne dziury”, „białe karły”, kometa Kohoutka — stały się naszymi problemami numer jeden. Obok książek Hoimara von Dittfurtha (którego omal nie rozdeptano na kiermaszu książki w Warszawie) i Ericha von Daenikena — dowodzącego, iż naszą cywilizację stworzyli przybysze z obcej planety — zaczytywaliśmy się w tomach traktujących o chorobach psychicznych. „Schizofrenia” Antoniego Kępińskiego.

go stała się bestsellerem na miarę najlepszych kryminalów Agaty Christie. Najmodniejszym stanem ducha była frustracja na tle ogólnoludzkim i wszechświatowym.

Wkrótce zaczęliśmy przeżywać coś na kształt inwazji UFO. Kosmici szczególnie upodobili sobie Wybrzeże. Fruwali od Szczecina po Gdańsk, widziani już nie przez pojedyncze osoby, ale licznych mieszkańców nadbałtyckich miast. Na ogół nikogo nie krzywdzili. Raz tylko kuter rybacki znalazł się w strefie działania Ognistej Kuli, ale rybacy — prócz krótkotrwałego szoku i zaginięcia dwóch członków załogi — nie odnieśli żadnych obrażeń. Później i dwaj zaginieni odnalezili się, tyle że w Szwecji.

W prasie huczało od opisów, hipotez i spekulacji. Jako że gdzieś dwóch Polaków, tam pięć zdań, podzieliła się Polska — jak długa i szeroka — na trzy obozy. Pierwszy szydził z ufologicznego szaleństwa, przypisując go zbiorowej hipnozie; drugi podchodził do sprawy serio, odbywał sympozja naukowe i starał się dociec, skąd przybywają kosmici i czego się można po nich spodziewać; trzeci zaś przypisywał afere jakiegś nowej, cudownej broni amerykańskiej.

Zimą 1980 poznałem w Szczecinie

młodego pracownika stoczni remontowej „Gryfia”, który przygotowywał wyprawę żeglarską do... Trójkąta Bermudzkiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie cel tej wyprawy. Otóż młody stocznikowiec zamierzał spotkać tam UFO i oddeleć z kosmitami z naszej galaktyki. Nie na stałe; tylko do czasu zapoznania się z tamtejszą cywilizacją – po to, by przenieść na Ziemię ich techniki, która wywabiałaby ludzkość od wszelkiego zła. Po tej rozmowie zrobiło mi się na duszy mistycznie i abrakadabrowo.

Minęło kilka miesięcy od wprowadzenia stanu wojennego. Będąc wiosną w Warszawie zwróciłem uwagę na liczne plakaty, zapowiadające co następuje: „Wyklada E. Uchnasta o samoleczeniu Biomedanacyjnym Sprzężeniem z Mózgiem BSM. Najprostsza i najskuteczniejsza metoda, rewolucyjne leczenie: polega na trzymaniu rąk na głowie w odpowiednim miejscu przez określony czas”. „Prelekcja prof. inż. Wilhelma Rotkiewicza pt. Wpływ pól elektromagnetycznych na człowieka”.

Po przeczytaniu tych anonsów w moim mózgu — na skutek bioemancypacyjnego sprzężenia z polami elektromagnetycznymi — zapaliła się czerwona lampka, sygnalizująca niebezpieczeństwo nowego zbiorczego omamu. W tym samym czasie „Kurier Polski” zamieścił artykuł „Ziemia w sieci UFO”, wraz z mapą Polski, na której zaznaczył uloczenie sieci punktów nawigacyjnych kosmitów. Punktami tymi miały być kamienie kryjące w swym wnętrzu aparaturę nawigacyjną UFO. Znak rozpoznawczy: wyraz „odcisk, przypominający kształt domu lub stopy ludzkiej. Kurier prosił o znalezienie takiego kamienia o takim wiadomienie redakcji.

Proponuję Czytelnikom, by się poświęcili na poszukiwanie „diabelskich kamieni”. Kładziemy ręce, na głowie i — powtarzając głośno jedną z przepowiedni Nostro domusa („Astrologia i polityka 600 złotych”) — idziemy w dowolnie wybranym kierunku. W ten sposób znajdziemy się w polu elektromagnetycznym aparatury nawigacyjnej UFO; wówczas rozkładamy stolic, kładziemy nań talerzyk pocelanowy, który o pomocy nawigacji kontakt z kosmitami. Za pośrednictwem prześlemy życzenia, które powinny spełnić się w odstępie trzynastodniowych.

Chyba że ktoś znów odpowiegoryczmy...

Chyba że ktoś znów odpie-
gżorczyzmy...

ADAM JERZY SOCHA

refleksje



REPORTER: Pan się ostatnio zbuntował, tak? O co poszło?



Teatr Naturalny, emitowany raz w miesiącu najpierw w programie trzecim, później w drugim, na końcu zaś w czwartym, narodził się ze splotu różnych przypadków i wydarzeń. Na samym początku była jednak tęsknota za tym, czego rozmówcy nie mówią, mimo usilnych starań dziennikarza. Ileż to razy bywa się na tropie ciekawych zdarzeń i nagle człowiek staje przed murem nie do pokonania: „Panie redaktorze, ja to panu powiem, ale nie do mikrofonu”. I cóż ma wtedy robić radiowiec? Nie pomagają prośby ani błagania, rozmówca ma swoje racje, od których nie odstąpi. Jego głos można zidentyfikować, więc po diable mu taka zabawa. Ma się

TEATR NATURALNY

już wprowadzenia określonej aktorskiej specjalizacji. „Natuszczyk” ani głosem, ani wiedzą o temacie nie wyjdzie poza ramy własnej osobowości. On przecież nie gra; mówi tak, jak potrafi. Nie ma też tekstu odgrywanej roli. Dostaje od nas z grubsza tylko określone zadanie: jesteś dzisiaj naczelnikiem, petent przychodzi do ciebie w takiej sprawie, masz go załatwić tak, a nie inaczej. Całą resztę, łącznie z dialogiem, aktor musi wypełnić sam. Od jego inteligencji, poczucia rzeczywistości, wyczucia dowcipu i humoru zależy, jak rola wypadnie.

nie osiągnąłby z grzbieta koszulę i oddał każdemu, kto tylko o nią poprosi. Plejadę aktorów małomiasteczkowych otwiera niezrównany Andrzej Polonowicz. Tu rzecz ciekawa: na samym początku wcale nie był taki dobry. Próbował grać, podgrywać, co w przypadku „natuszczyków” zawsze daje żalosne efekty. A jednak, jakby zadając kłam twierdzeniom, że aktorem naturalnym konieczne trzeba się urodzić, z Teatru na Teatr Andrzej stawał się coraz lepszy. Z niemalą satysfakcją obserwowaliśmy kolejne etapy rozwoju jego aktorskiej osobowości. Do perfekcji opanował rolę popleczników lokalnych notabli, którzy zle-

działaczek, z własnej woli zgodziła się na współpracę z Teatrem. Grają młodzi i starzy rolnicy, rękodziełcy i ludzie poważni. Ani ci zajmowane stanowisko, ani wiek ani wykształcenie ani wreszcie wysokość w hierarchii małego miasteczka, nikomu jakoś nie przeszkadzały w „natuszczykowski” aktywności. Ostatnio nie musieliśmy już nawet szukać nowych aktorów, zgłaszali się do nas sami. Tylko kobieci jak nie było, tak nie ma.

Spośród kilkudziesięciu emitowanych dotychczas spektakli Teatru Naturalnego większość poświęciła my problemom nekającym nas życie społeczne, polityczne, ekonomiczne i gospodarcze. Przez dramat troszeczkę zwariowanej grymyzacji, kazaliśmy wszystkim najwęższe, nasze zdaniem, wypaczenia i deformacje. Czasem zdarzyło nam się wyprzedzać pewne fakty. Między innymi przewidzieliśmy ową słynną, a fatalną w skutkach, zimę stulecia, w kwietniu 1980 mówiliśmy o fali strajków, grubo wcześniej przed wprowadzeniem kartek na żywność — w naszej gminie już je wprowadzono. Co więcej, przewidujący naczelnik wymyślił nawet kartki na kartki. Kiedy w sklepach można było jeszcze cokolwiek kupić, jeden z naszych aktorów nauczał w gminnej szkole sztuki higienicznego wystawiania w kolejkach, natomiast spółdzielnia pracy „Spokojna przyszłość” wprowadziła na rynek nową zabawkę — politechniczną „Małą kartkarkę”. Wiele innych jeszcze rzeczy można było przewidzieć bez pomocy wróżki. Skoro w roku 1977 nasza fabryka szczerotek zakupiła szwedzką licencję na miotły z wiłkami, cała reszta mogła być już tylko naturalną konsekwencją tego typu gospodarczych poczyną.

Kiedy przeglądam dzisiaj tryb naszych spektakli, znajduję w nich wierne odbicie ówczesnych problemów naszego życia: „Sześć razy S”, „Dezalkoholizacja alkoholu”, „Kontrola kompleksowa”, „Krajobraz naświetleniu”, „Powszechna kula”, „Antyflacja” (coś w rodzaju inflacji), „Daczowisko”. Ten ostatni Teatr wywołał spore poruszenie wśród wielu słuchaczy. Premiera, jak zwykle, najpierw miała miejsce w Warszawie, a dopiero później w Warszawie. Niektóre głosy anonimowych słuchaczy były nam dobrze znane z publicznych występów.

Osią dramaturgiczną wszystkich spektakli była podróż dwójki reporterów, którzy zwiastowali kolejną sensację i podążali jej śladem. Sami graliśmy dziennikarzy — wbrew pozorom — wcale nie było łatwe. Dziennikarz grający dziennikarza ciągle musi uważać, żeby nie popaść w przesadę. Naszym aktorem wszystko było wolno, my musieliśmy zachowywać chłodną postawę postronnego obserwatora, kłamić, rzucać wydarzenia.

Piszę tu „spektakle”, choć nie żadnego spektaklu nie było. Spektakl naturalny, bo chyba tak można nazwać nasze Teatry, powstały i powstają na zasadzie dramatycznych reportaży. Aktorów namawialiśmy przeważnie oddzielnie w domach. Jeździło się od chałupy do chałupy — ten wyjechał, ten nie, nie ma czasu; improwizacja, nie była naszą naczelną zasadą. Nie biliśmy żadnych scenariuszy, wolałbyśmy, że życie i tak nam je wyłoży. Spektakl powstawał w ciągu kilku dni, w trakcie montażu. Ważną rolę w fabule miały drugorzędne postacie. Całość składała się z szeregu krótkich scenek, powiązanych z sobą komentarzem. W roku 1981 spisał nas nie było jaki zaszczepił den z Teatru został uznany za najlepszą audycję w Polskim radiu.

Zarówno „Powtórka z języka” (na jak i powyższy tekst ukazał się w kładem Wydawnictwa Radia i Telewizji — w książce Wiesława Janickiego „dio bez tajemnic”).



WIESŁAW JANICKI

gdzie jest to daczowisko?

Z biegiem czasu zaczęły się krytykować aktorskie sylwetki angażowanych przez nas ludzi. Niektórzy z nich, czy to z racji na warunki głosowe, czy też cechy charakteru, w odtwarzaniu „swoich” postaci osiągnęli niemal profesjonalną doskonałość.

Mistrzem nad mistrze stał się się Józef Wojtacki, wiejski krawiec z małym skrawkiem ornej ziemi pod marchewkę i ziemniaki. Zazwyczaj gra sprytnych rolników, którzy zawsze jakoś tam dają sobie w życiu radę. Gdy braknie mu ziarna na zasiew, przy pomocy skonstruowanej przez siebie aparatury pędzi żyto z żytynie z kłosem. Zbudował ciągnik z lokomotywy parowej, mieszkanie ogrzewa wyprodukowanym z obornika gazem. Ma głos człowieka głęboko przekonanego o swoich racjach. Kiedyś widział UFO i mówił o tym tak żarliwie, że bodaj w tydzień po emisji ufologicznego Teatru zjawił się u nas przedstawiciel gliwickiej filii związku ufobadaczy. Ani ruszyć nie mogliśmy mu wytłumaczyć, że to tylko zabawa.

W rolach wiejskich Wojtackowi nie ustępuje Jurek Pawłowski. Grywa młodych i dziarskich sołtysów, typowych działaczy ogarniętych pasją rządzenia, pokrzykujących na ludzi z byle powodu i na ogół bez racji. Jego jednoosobowy samorząd rolniczy stał się kiedyś przedmiotem autentycznej dyskusji. Dziwnym zrządzeniem losu, po jakimś czasie, fikcja zmieniła się w rzeczywistość i naprawdę został we wsi sołtysem. Owa funkcja, na którą został wybrany z woli ludu, ani na jotę nie zmieniła jego stosunku do Teatru. Jurek pochodzi zresztą z wybitnie utalentowanej rodziny. Jego stryjek Dionizy gra u nas role starców i chytrych dziadków. Musiał się w życiu napatrzyć na różnych spryciarzy, gdyż sam z natury jest raczej utracjuszem. Chę-

cają mu zadania, jakimi sami nie chcieliby się parać. Najczęściej bywa ich pełnomocnikiem lub rzecznikiem. Z iście makiawelską logiką tłumaczy najgłupsze poczynania swoich mocodawców. W jego głosie brzmi ledwie wyczuwalna nutka fałszywego entuzjazmu autentycznych karierowiczów. Z zawodu jest zegarmistrzem, nigdy w życiu nie pracował w żadnym biurze ani urzędzie. Potrzebna wiedza o temacie zdobył przez własne obserwacje.

Adam Grabowski, dyrektor domu kultury, bywa najczęściej szefem

małych spółdzielni i zakładów produkcyjnych. To właśnie on wytwarza pluszowe misiaczki w oparciu o trociny sprowadzane za dolary z Finlandii. Jego wiedza o produkcji i ekonomice przemysłu, jak na tamte czasy, wydawała się nam typowa dla wielu naszych menadżerów produkcji, znajdujących się na wszystkich i zarazem na niczym. Wczoraj pracował w branży obuwniczej, dzisiaj dyktuje w kalesonach, a jutro...

No i wreszcie szczególnie aktorski rodzynek: naczelnik nad naczelnikami, Władek Lechociński. Na co dzień jest strażnikiem rezerwu bobrów, uroczego zakątku nadbiebrzańskiej krainy. Od setek nawiedzających go oficjeli, stale przyjeżdżających tutaj na i po rybki, nauczył się języka biurokratycznego establishmentu. Potrafi pisać androny posługując się zbiorem obiegowych sloganów. Jak i oni — mówi w ten sposób, żeby przypadkiem niczego nie powiedzieć. Władcy ton głosu człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, w połączeniu z brakiem jakichkolwiek treści, daje efekty zmuszające słuchacza do myślenia.

Aktorów mamy kilkudziesięciu (jest jeszcze Edek Czeus, grający wieczną ofiarę losu, uwikłaną w dziesiątki najdziwniejszych sytuacji, najczęściej zresztą bez własnej winy; jest Edek Sienkiewicz, domorosły majster-artysta, złota rączka do wszystkiego, producent środków chwastobójczych z krajowego wina marki „Wino”; jest Heniek Potocki mistrz kierownicy, znawca intymnych tajników zawodowego życia i wielu innych). Kłopot jest tylko z paniami. Obsadzanie ról kobiecych zawsze sprawiało nam największe trudności. Zaledwie kilku naszym aktorkom udało się skłonić własne żony do wspólnej zabawy. Jedynie pani Stawecka, znakomita odtwórczyni ról kobiecych

komuś narażać albo sobie robić wątpliwą nieraz reklamę? Któż powie o sobie: jestem świnia, nie umiem pracować, licho ze mnie człowiek i jeszcze gorszy obywatel. Bijam żonę, golę wodę, kradnę, co mogę... Z tych też powodów najsmakowitsze kąski najczęściej leżą poza zasięgiem Radia. Siedzi się przy stole, na którym pełno pysznego jadła, a można wciąć tylko chlebek z masłem. Nawet bez soli, bo i tego często skąpią rozmówcy.

W połowie lat siedemdziesiątych stół uginał się pod ciężarem przysmaków. Gdzie nie rzucić okiem, tam homary, langusty, kawior, garnirowane bażanty; tylko jak tu się dobrać do tych frykasów?

Jest taka kraina leżąca w dolinie Biebrzy, gdzie żyje naród śpiewny i mowny. Mieszkający tam ludzie odznaczają się szczególnymi talentami, a przede wszystkim wspaniałymi cechami charakteru. Są otwarci, szczerzy i wylewni. Przyjaźń często znaczy dla nich więcej niż więzy pokrewieństwa rodzinnego. Potrafią też nie znieść się nawzajem, ale to już jest całkiem inna sprawa. Do obcych odnoszą się ufnie, trzeba tylko przypaść im do gustu i serca. Przy tym wszystkim potrafią świetnie mówić. Czy można sobie wymarzyć lepszy teren, bogatsze źródła tematów radiowych nagrań?

Owa Ziemia Obiecana radiowców znaleźmy już od dawna. Dziesiątki razy przemierzaliśmy jej drogi, nawiązując przy okazji nowe kontakty. Potrzebowaliśmy aktorów, a gdzie ich szukać, jeśli nie tutaj? Był też inny powód, dla którego nasi „natuszczyki” musieli pochodzić ze wsi lub — co najwyżej — z małego miasteczka. Otóż wszystkie wynaturzenia tamtych czasów dawały się sprowadzić do realiów gminy. Co było złe na górze, tutaj miało paranoiczne nieraz wymiary, czystsze przy tym i wyraźniejsze. W ten sposób piekło się dwie pieczenie na jednym ogniu: nikt nam nie mógł zarzucić, że szarpiemy możliwości tego świata, a jednocześnie wszystko dawało się wepchnąć do gminnego garnka. Była to druga połowa lat siedemdziesiątych, апогеум propagandy sukcesu. Jakaś tam zwariowana gmina, leżąca na krańcu świata, nie miała świetlanego obrazu. Przeciwnie, jej obraz, stanowiący swoiste kuriozum, mógł być wyjątkiem, potwierdzeniem powszechnej — a pozytywnej — reguły.

Po frywolnej „Sadze rodu Forysiów”, w której zajmowaliśmy się przede wszystkim sprawami wiejskiego folkloru, przysłała kolej na poważniejsze tematy. Te wymagały

BYŁ
N
buc
W ludzk
dzia
miętam
budownic
r- wied
popadacz
nła fakt
miasto p
pisano,
kształcie
tych ulic
no szerok
na rzym
tym samy
Via Lata.
no siec w
było pod
ko dla ga
pelen inzy
sposród w
skich naj
wał o roz
zdłuż w
Jeziora A
ometrów.
przekopan
wiałby bez
frachtowce
aż do same
wania roz
zowano do
ków. Podc
ron na now
ia kanału
dokonał pie
nem i wyn
niony ziem
dobno) śm
budowy ob

chm
ew
Okazuje si
awiających
zasadzie
wniosku dos
tego Obser
ZSR, po
w różnych p
na. Nad ob
jawia się
nad ładami.
mają miesz
njej przesła
popełzcy. I
taki ukła
jącej w re
tego.
Liczyć chm
rychłodzi d
murzeń sz
ranu bardzi
gody, a tal
cznego biał
nie chm
nagły słone
nie.

z
gi
Najpotężnie
mimi, roz
emlowskie
machu M
letu. Został
roku. Z
czną w cze
ciometrow
mówowej w
metry, a je
mówów. C
wokość 70 c

Neron budowniczy

W ludzkiej psychice zrodził się dziwny paradoks: łatwiej pa-
miętały o burzycielach niż o
budowniczych. Może dlatego potocz-
nie budowniczych. On z wiedzą utrwalila Nerona jako
podpalacza Rzymu, natomiast pomi-
nęła fakt, że właśnie za jego rządów
miasto po pożarze, który mu przy-
miano, odrodziło się w nowym
kształcie. Wówczas w miejscach krę-
tych uliczek i zaułków poprowadzo-
no szerokie aleje i place. Współcze-
nie rzymska Via del Corso podaża
tym samym cesarskim traktem —
Via Lata. Właśnie wtedy rozbudowa-
no sieć wodociagową, aby wszędzie
było pod dostatkiem wody, nie tyl-
ko dla gaszenia pożarów. Neron —
pełen inżynierskich pomysłów — był
środkiem władcy julijsko-klaudyj-
skich najzdolniejszy. On zdecydow-
wał o rozpoczęciu budowy kanału
przez wybrzeża Italii, z Ostii do
Jeziora Awernus, o długości 250 ki-
lometrów. Łącząc się z kanałami
przekopanymi przez Agryppę, ułat-
wiałby bezpieczną żeglugę ciężkim
frachtowcom, załadowanym zbożem,
aż do samego Rzymu. Za jego pano-
wania rozpoczęto wykopy, zmobili-
owano do pracy tysiące niewolni-
ków. Podczas greckiej podróży Ne-
ron na nowo podjął myśl przekopa-
nia kanału Korynckiego. Sam nawet
dokonał pierwszego uderzenia oskar-
żeniem i wyniósł pierwszy koszt napie-
lony ziemią. Po samobójczej (po-
dobno) śmierci Nerona zaniechano
budowy obydwu kanałów.

chmurkowa ewidencja

Okazuje się, że ilość obłoków po-
jawiających nad naszą planetą jest
w zasadzie stała. Do takiego
wniosku doszli pracownicy Głównego
Obserwatorium Geofizycznego
ZSRR, po wieloletnich badaniach
w różnych punktach naszego glo-
bu. Nad obszarami oceanicznymi
pojawia się więcej chmur aniżeli
nad lądami. Najjaśniejsze niebo
mają mieszkańcy Afryki, najczę-
ściej przesłaniane chmurami — Eu-
ropejczy. Meteorolodzy uważają,
że taki układ tworzą cyklony pow-
stające w rejonie Oceanu Atlanty-
cznego.

Liczyć chmurki? Co też ludziom
przychodzi do głowy! Mapy za-
murzeń są przydatne w opraco-
waniu bardziej trafnych prognoz
pogody, a także dla oceny ener-
getycznego bilansu naszej planety.
Właśnie chmury regulują dopływ
energii słonecznej na jej powierz-
nię.

zegar gigant

Najpotężniejszy zegar, który
miał rozmiarami przewyższa-
jącymi kuranty, znajduje się
w gmachu Moskiewskiego Uniwer-
sytetu. Został tam zamontowany w
roku 1981. Z ogromnej wysoko-
ści w cztery strony świata dzie-
jętometry cyfrowe. Długość
wskaźników osiąga ponad
metra, a jej ciężar wynosi 39 ki-
logramów. Cyfry na zegarze mają
wysokość 70 centymetrów.

Triobrandczy (mieszkańcy
wysp Melanezji) głęboko
wierzą w moc magii miłosnej i są
przekonani, że tylko ona daje naj-
większe rezultaty w zdobywaniu
dziewczyny. Wprawdzie i one rów-
nież uciekają się do praktyk ma-
gicznych, ale najczęściej inicjatywa
wychodzi od chłopców.

Jeżeli dziewczyna nie odwzajemnia
uczucia młodego Triobrandczyka,
najpierw poddaje się on obrzędowi
mycia. Kąpiel w morzu czyni go

Wejść do mego domu i stąpać po
mojej podłodze;
Wzbur i powyrwij moje włosy;
Pij moją krew i chwyć za mój
członek".

Odrobinę tej zaczarowanej aro-
matycznej substancji trzeba rozma-
rować na ciele upragnionej dziew-
czyny. Tylko nieśmiały chłopiec
zmoczy olejkiem kwiat, tak aby za-
pach dotarł do nozdrzy wybranki.

W akcie magii miłosnej najważ-
niejszą rolę odgrywa obrządek przy

seks dzikich



pięknym i powabnym, a osuszenie
ciała gąbczastymi liśćmi z krzewów
wageva, nad którymi wypowiada
specjalne zaklęcie i następnie wrzu-
ca do morza, przynosi dziewczynie
miłe sny o młodzieńcu.

Drugi atak do serca dziewczyny
odbywa się przy pomocy jedzenia.
Podaje się jej zaczarowany orzech
lub trochę tytoniu. Jeżeli spożyje,
czary przedostają się do jej wnętrza i
pod ich wpływem staje się ona przy-
chylniejsza dla chłopca.

Kolejny obrządek koncentruje się
dokoła pachnącego zioła kwoyawa-
ga. Wkłada się je do naczynia z o-
lejkiem kokosowym i intonuje nad
nim zaklęcie:

"Wygląd, wyglądz twą matę
pod głową;

sulumwoya, rodzaju mięty, która
jest symbolem uwodzicielskiego
czaru i daje niepodzielne panowanie
nad sercem ukochanej. Nad gotują-
cą się w olejku kokosowym miętą
intonuje się zaklęcie:

"Moje uściski, twoje uściski
wzniciąją nasze miłosne
zapamiętanie!
Moje spółkowanie, twoje
spółkowanie wznicią nasze
miłosne zapamiętanie!"

Następnie olejkiem należy pokro-
pić twarz ukochanej, wówczas ona
nie zdoła się oprzeć urokowi mło-
dzieńca. Niepowodzenie we wszel-
kich zabiegach miłosnych tłumaczy
się działaniem przeciwmagii, stosow-
wanej przez dziewczynę.

(Bronisław Malinowski: „Dzieta”)

1	2	3	4	5	6	7	8	9
10					11			
12					13			
14					15			
16	17							
18	19	20	21					
22					23	24	25	26
27					28			
29					30			
31					32			
33								

POZIOMO: 1) światło, jasność, poświata, 6) źródło Nilu Błękitnego, 10) zniechęcający starzec, 11) autor opery „Gdyby był królem” lub grudnio-
wy solenizant, 12) rodzaj szala futrzanego, 13) częsty efekt pojedynku, 14)
owoc południowy, symbol dobrych interesów, 15) „obrazek” wśród roślin, 16)
imię autora powieści „Komu bije dzwon”, 18) w boksie powstrzymanie cio-
sem ataku przeciwnika, 22) unosi się nad bagnem, 23) teren wydzielony na
tor kolejowy, 28) system ćwiczeń rodem z Indii, 29) potrawa nie dla jaro-
sza, 30) imię Chaczaturiana, autora baletów „Gajane”, „Spartakus”, 31) w
dzienniczku niesfornego ucznia, 32) święta ryba, 33) nazwa znanego
tworzywa antykorozyjnego.

PIONOWO: 1) odkryty pojazd z wysokim kozłem i wielkim pudłem z ław-
kami, 2) nasz znakomity piłkarz reprezentacyjny, 3) szal występujący u po-
łudniowców, 4) występ na scenie pojedynczo, 5) na znaczku pocztowe, 6) sta-
rożytna machina oblężnicza, 7) przylądek Antarktydy Wschodniej, miejsce
pierwszego lądowania na Antarktydzie, 8) szlam naniesiony przez wodę, 9)
typ aktora filmowego, 17) człowiek gwałtowny, porywczy, 18) znany ame-
rykański serial kryminalny, 19) podpora, oparcie, 20) szkodliwy osad pow-
stały w silniku, 21) obieżyświat, 24) wulkaniczny produkt, 25) olejek róża-
ny, 26) w mitologii hinduskiej wąż, duch, demon, posłaniec Wisznu, 27) ole-
jki „HCL”

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem
redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

CZARODZIEJSKI ZIELNIK

dąb

Dąb jest drzewem, które otacza-
li wielkim kultem już staro-
żytni Grecy. Z upływem lat kult
ten rozszerzył się na całą niemalże
Europę. Nie wiadomo, jak nasi po-
gańscy przodkowie czcili to piękne
drzewo. Przypuszcza się, że — po-
dobnie jak na Żmudzi — poświęci-
li je Perkunowi, bogowi piorunów
i błyskawic. Perkun, jak głosi pra-
stara legenda, wskazywał za po-
średnictwem gromu, który z dębów
obiera sobie na swoją siedzibę. Po
odszukaniu takiego dębu na straży
przy nim stali zwykle kapłani, a u
jego stóp płonął wieczny ogień.

Ogień był święty. Rozniecano go
tylko raz — w chwili znalezienia
naznaczonego piorunem drzewa —
przez pocieranie kawałków drewna
dębowego. Przy końcu czerwca i
w ostatnich dniach grudnia w
pobliżu świętego dębu gromadzili
się wierni i składali Perkunowi o-
fiary. Ceremoniał dorzucania kłód
do wiecznie płonącego ogniska koń-
czył się obrzędem rozdania świę-
tych popiołów.

Sam moment dorzucania kłód dę-
bowych do ognia związany był z
wróżbami. Przedwcześnie lub zbyt
gwałtowne opuszczenie kłody w
płomień oznaczało niepowodzenie
w najbliższej przyszłości, a ze spo-
sobu jej palenia się przepowiadało
radość i wszelkie strapienia. Naj-
mniej pomyślne wróżby przynosił
dym.

(Opracowała abe)

TANIE DANIE

zapiekanica cebulowa z piwem

Usiekać drobno kilogram cebuli i
przesmażyć na wolnym ogniu z
60 g masła — do momentu, kiedy
zacznie się rumienić. Obrąć i po-
krajać na drobne plasterki 2 kg
ziemniaków. W płaskim żaroodpor-
nym (kamiennym lub szklanym) na-
czyniu układać warstwami ziemnia-
ki i cebulę. Zalać wszystko miesza-
niną złożoną z dwóch butelek
śmietanki i butelki piwa, dodać
pieprzu, gałki muszkatołowej oraz
ostrego żółtego sera, rozdrobnionego
na tarce. Na wierzchu (ostatnia
warstwa powinna być z ziemnia-
ków) położyć kilka kawałków mas-
ła. Włożyć do gorącego pieca (220 st.
C) na około 2 godziny. Gdy potra-
wa się lekko zarumieni, zmniejszyć
ogień do 180 st. Im dłużej danie się
piecze, tym jest smaczniejsze. Mo-
żna podawać z zieloną sałatą.

bursztynowa nalewka

Kawałki rodzimego bursztynu,
nigdy topionego, w ilości 50 g,
wypłukać w letniej wodzie. Wsypać
do butelki o pojemności 3/4 litra,
zalać czystym spirytusem — nigdy
denaturatem. Po dziesięciu dniach
nalewka jest już gotowa. Nie trze-
ba jej precedzać ani przelewać do
innej butelki. Bursztyn nie rozpusz-
cza się w spiry图斯ie, jedynie wy-
dziela mikroskopijne cząsteczki,
które zabarwiają spirytus na złoty
kolor. Jest to znakomity środek
chroniący przed grypowymi doleg-
liwościami. Do porannej herbaty
trzeba codziennie wlać trzy krople
nalewki bursztynowej. Podczas cho-
roby natomiast — często nacierać
się watą nasączoną tą nalewką. Po
wyczerpaniu płynu kawałki bur-
sztynu pokruszyć młoteczkiem i po-
nownie zalać spirytusem. Ten sam
bursztyn można wykorzystać tylko
dwa razy.



Monachium '74. Srebrny medal! Potęgą futbolową. Euforia, chorałowe zapewnienia: „Polak potrafi! Nie ma rzeczy niemożliwych”! Czy Łomżyńskie ma być gorsze od Ostrołęckiego? Mają nowy stadion i piłkarzy w III lidze? Nie szkodzi, my też kupimy zawodników. Budują basen? Nasza młodzież sroce spod ogona... Wybudujemy basen, nie jeden, ale trzy. Co tam trzy: będzie basen w każdej gminie.

Rozmowy, uzgodnienia, dokumentacje wykonawcy.

Rozmowy, uzgodnienia, dokumentacje, wykonawcy.

Budowę basenów rozpoczniemy, oczywiście, od Łomży, bo jakże by inaczej? Ale już kąpiel w Szczuczynie i Ciechanowcu. Niedługo rozpoczyna w Kolnie. Nie będą to, oczywiście, wielkie baseny; na początek wystarczą małe: niekiedy o wymiarach siedemnaście na osiem metrów, o głębokości od sześćdziesięciu do stu dwudziestu centymetrów. Kto śmie mówić, że to brodziki dla przedszkolaków? Chyba tylko jakiś idiota nie znający się na rzeczy! Jak taki mądry, niech wybuduje większy. Na razie przecież wprowadzamy małe, nowe gospodarczy. Inwestycje są ograniczone, jednak do dziesięciu milionów można, a baseny to konieczność. Narew zanieczyszczona, gdzie młodzież ma pływać? No i dorośli. Przecież teraz wszyscy na gwałt próbują utrzymać się na powierzchni.

Od paru lat w kilku miejscow-
ciach województwa, o czym mieli-
my już okazję pisać, "cięża" czy-
stałowe szkielety konstrukcji ba-
senów. Prawdopodobnie już niedłu-
go zaczyną rdzewieć. Niszczyją rów-
nież płyty osłonowe ścian bocznych.
Tylko patrzeć, jak się posypią fun-
damenty. Z dokumentów wynika, że
zgromadzoneo dziewięćdziesiąt pro-
cent materiałów niezbędnych do bu-
dowy basenów. Zachodzi jednak o-
bawa, że zanim zdobędzie się bra-
kujące, część z tych, które już są,
nie będzie nadawać się do zmonto-
wania. Składowane są w nieodpo-
wiednich warunkach.

Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji, na którego stanie figurują nieszczerne konstrukcje, chciałby na stadionie w Łomży wybudować magazyn-wiatę. Zgromadził już materiały, stosunkowo łatwe do montażu, które można również szybko rozebrać. Architekci nie chcą jednak wydać zezwolenia; motywują to tym że magazyn jest za wysoki, a na stadionach obowiązuje zabudowa parterowa. Racja, bezplanową budowę szeszepono Łomżę dokładnie; żęby to stwierdzić, niekoniecznie trzeba podziwiać panoramę Łomży od Piątnicy, wystarczy przejść się ulicą Buczka lub Armii Czerwonej. Ale szanowni architekci, o ile mi wiadomo, mogli przecież wydać zezwolenie na czasową lokalizację tego rodzaju budowli, tym bardziej że magazyn łatwo daje się zdemontować, i to bez dużych kosztów. Chodzi przecież o zabezpieczenie niszczących materiałów wartości rzędu milionów złotych! Kalkulacja jest teraz nakażonej chwili, a efekt w tej konkretnej sprawie — oczywisty.

Cały ciężar basenowych inwestycji złożono na WOSiR, firmę, której podstawowym obowiązkiem jest organizowanie imprez sportowych i rekreacyjnych oraz dbanie o to, aby

PORADNIK PETENTA



oszczędzanie bez strat

Przepisy zawarte w dwóch ak-
tach prawnych: uchwale nr
27 Rady Ministrów z dnia 27
stycznia 1982 r. w sprawie jednorazowej rewaloryzacji wkładów oszczędnościowych (M.P. nr 5, poz. 28) oraz zarządzeniu prezesa Narodowego Banku Polskiego z dnia 3 czerwca 1982 r. w sprawie wprowadzenia oraz trybu realizacji depozy-

SPORTS

OK! 3



obiekty i urządzenia na nich były w należytym porządku i sprawności technicznej. Natomiast sprawę basenów, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, powinna pilotować Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich. I jej właśnie wyznaczono rolę inwestora zastępczego w miejsce WOSiR-u. Skończyło się jednak na wyznaczeniu. Pracujący tam fachowcy nie dali się wpuścić w maliny i nie podpisali umowy. Zobowiązali się jedynie do udzielania pomocy w inwestycji.

Czy na terenie naszego wojewódz-

towych bonów rewaloryzacyjnych (M.P. nr 15, poz. 121), zostały wydane w celu przywrócenia, zmniejszonej w konsekwencji podwyżek cen, wartości kwot wkładów oszczędnościowych ludności, zgromadzonych na rachunkach banko-
wych.

Jednorazowej rewaloryzacji podlegają wszystkie wkłady oszczędnościowe, z wyjątkiem: 1) wkładów na mieszkaniowych i-budowlanych książeczek oszczędnościowych, objętych premią gwarancyjną, 2) wkładów na specjalnych rachunkach w bankach spółdzielczych, na których gromadzone są środki z tytułu dostaw produktów rolnych, objętych gwarancją wartości, 3) wkładów na rachunkach bieżących osób prowadzących działalność gospodarczą, a także wkładów na rachunkach bieżących oragnizacji politycznych, związkowych i społecznych.

Rewaloryzacji będą dokonywać banki w okresie od 1 września 1982 r. do końca 1983 r., w oparciu o stan zgromadzonych wkładów na dzień 31 stycznia 1982 r. Warunkiem jest przedłożenie w banku ważnej książeczki lub bonu oszczędnościowego. Zgodnie z art. 38 ustawy z dnia 26 lutego 1982 r. (Dz.U. nr 7, poz. 56), obowiązujące od 1 lipca br.

twą można znaleźć wykonawcę, który mógłby zakończyć budowę basenów? Odpowiedź jest prosta i trudna jednocześnie, bowiem wykonawcę da się wskazać, tylko czy zechce on się tej roboty podjąć. A więc po kolei. Jako wykonawca odpada, oczywiście, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego w Łomży, słynne z wieloletniego remontu kina; odpadają różne grupy remontowo-budowlane, bo są za słabe. Należy wyeliminować również WOSIR. Ma on co prawda dziesięciosobową grupę remontowo-budowlaną, ale nie dysponuje ani odpowiednim sprzętem, a materiałami, nie posiada ponadto zaplecza. O jego możliwościach najlepiej świadczą prowadzone roboty przy remontach stadionów w Łomży, Kolnie i Grajewie oraz rozbudowa ośrodka wypoczynkowego w Boguszach.

— Rozumiem tych wszystkich, którzy krytykują nas, ilekroć przechodzą koło łomżyńskiego stadionu — mówi Zdzisław Baranowski, dyrektor WOSiR-u — ale jak można uporać się z robotą, jeśli nie ma nas w

nią bazą i podwykonawcami, tym
że nie zechce zapewne brać się za
nietyczne roboty. Trudnią się mi-
szkaniówką, bo to ich po istawio-
bowiązek. Co tu marzyć o basenach
skoro trudno ich namówić o basenach
dynki z placówkami handlowymi
parterach.

Dziwna jest więc decyzja likwidacji łomżyńskiej filiickiego „Budremu”, firmy doświadczanie w robotach nych, montażowych i wykonawczych. Z tą decyzją można było najmniej trochę poczekać. Przecież nie tylko basenów nie ma kto dować.

Nie podzielał optymizmu dyrektorów z WOSiR-u, którzy twierdili, że uporają się z basenami do roku 1985. Mając w pamięci (w roku 1985) przypadkach — przed oczami) wielu inwestycji sportowych w województwie, trudno uwierzyć, aby porali się z zadaniami przedzielnym przyszłemu wiekowi.

Czy naprawdę baseny, w które
włożono tyle pieniędzy, a niejednokrotnie — zdrowia i nerwów,
sprawą nie do przeskoczenia?

žadnym rozdzielniku materiał? Musimy wyzebrać każdy kilogram cementu i wapna. Nigdzie nie można kupić grubych gwoździ, a z byle deską trzeba lecieć do przywaciarza. Jaki uczciwy fachowiec zechce u nas pracować, jeśli nie ma możliwości porządnie zarobić? Pomimo trudności robimy, co możemy, ale baseny przerastają nasze możliwości.

ci. Jedyną firmą, która mogłaby poradzić sobie z basenami, jest chyba Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Dysponuje ono odpowied-

— To są sprawy nietypowe —
wi inż. Henryk Wagner z Wojewo-
kiej Dyrekcji Rozbudowy Miao-
siedli Wiejskich w Łonży — Pro-
LPB ich nie przyjmie. Powinno-
my. Trzeba chwilowo zabezpieczyć
konstrukcje przed zimmem i de-
czem. A patrzac realnie, wszyscy
sily skupici na realizacji jedynego
basenu. Ten jeden, nawet w ob-
nej sytuacji, da się wykonać. Za-
tem myśleć o następnych. Często
dużo chcemy na raz i to nas gę-
si.

WYMIATA
Fot. GABOR LÖRINC

umowa rachunku oszczędnościowego ulega rozwiązaniu z mocy prawa (a tym samym ulega unieważnieniu książeczka oszczędnościowa), jeżeli w ciągu 5 lat nie dokonano na rachunku żadnych obrotów, oprócz rocznego dopisywania odsetek, a wysokość wkładu nie przekracza minimum ustalonego w umowie. Natomiast bony oszczędnościowe zachowują ważność przez okres przewidziany w przepisach upoważniających do ich emisji (tak np. oprocentowane bony oszczędnościowe — 10 lat, lokacyjne — 5 lat), z zachowaniem okresu przedawnienia przewidzianego dla roszczeń o zwrot wkładów oszczędnościowych.

Likwidacja książeczki oszczędnościowej lub bonu przed dniem 1 września 1982 r. pozbawia właściciela prawa do rewalezacji wkładu.

Posiadaczom ważnych książeczek i bonów oszczędnościowych — w okresie od 1 września do 31 grudnia br. — będą wydawane depozytowe bony rewaloryzacyjne na 3 lata (z datą 1 lutego 1982 r.). Bony rewaloryzacyjne (na okaziciela) nie podlega umorzeniu w razie jego utraty. Stanowi on dowód posiadania wkładu oszczędnościowego powstałego w wyniku zrewaloryzowania

innego wkładu według stopy
lonej na 20 proc. Również sam
rewaloryzacyjny jest oprocento
ny (15 proc. w stosunku rocznym)
okres od 1 lutego 1982 r. do
stycznia 1985 r.

Kwoty rewaloryzacji są wy-
ne w bonach wartości 100, 500,
5000 i 10 000 złotych. Przy
waniu rewaloryzacji stosuje się
sądę zaokrąglania kwot do peł-
100, złotych; jeżeli np. kwota
kwoty wynosi od 50 do 100 zł
bon ma wartość 100 złotych, a
wynosi ona mniej niż 50 zł
bon na nią nie będzie wydany.

W przypadku premiowych
oszczędnościowych rewaloryzacji
nastąpi w formie dodatkowego
sowania premii (w dniach 17
sierpnia 1982 r.), które również
staną wypłacone w bonach rewaloryzacyjnych.

Realizacja bonów rewalo-
nych rozpocznie się 1 lutego 1985 r.
Od tego dnia bon rewalo-
może być przez właściciela
niony na inny bon ośzczędnościowy
lub gotówkę. Nie zrealizowa-
traci ważność po upływie 10 lat
1 lutego 1985 r.

ZBIGNIEW SZPALIŃSKI

twie,
łow, s
ubiegł
miesia
siwa
jest z
(25 pr
rosły
wyraż
prowa
żona c
na, gd
żarów
rosną
— NA
8. 9
twa i
chanow
masz
wystę
pokaz
skich.

Zarząd
wszyst
przeka
nieszka
nym or
uregul
go kom
Niedost
Mieszka
osób w
tów, kt
starzeń

CZWAR
PROG
serii „Z
17.00. „Dzi
skowsky.
Anonim
Melodie
PROG
stycznio
PIĄTEK
PROG
na jeden
„Trudn
ne z po
„Drug
na 22.00.
na dobra
PROG
— legend
13.30. Dzi
knota Si
SOBOTA
PROG
eleferie:
mumental
Moje mi
rybna
z 21.00.
Gospoda
PROG
— kłój jej
studio
zdrzyka
16.45. „W
w kad
Arac”
WIEDZIE
zagrozi
wytun
„Fic
44. Tele
allalu
17.35. „W
wizyjne
cz. III)
e i pytan
uczony.
PROG
alter pro
dnodn
17.17. „W
kowny k
Studio 2
WIEDZIE
20.30. Jan
onow. 17
Witun
nauka i
wiał i t
PROG
„(I. 19.1
„Wojak”
„kolien”
FOREK
16.15
na”. 16.4
16.50. „W
19.00. F
19.15. „W
19.30. F
19.45. „W
19.50. F
19.55. „W

horoskop

L E W 23 VII — 22 VIII

Symbolizuje siłę i odwagę, jest znakiem żywotności i uzdolnień organizacyjnych. Reprezentanci tego znaku wyróżniają się nadmiernym niekiedy dążeniem do władzy.

Pan Lew jest dokładny, stanowczy, wymagający wiele od siebie i od innych. Łatwo się denerwuje. Marzy o kobiecie, która potrafi go zrozumieć i będzie zgadzała się z nim we wszystkich, nawet najdrobniejszych, sprawach. Ma wrodzone uzdolnienia artystyczne.

Choć Lew zdradza nadmierną nieraz gwałtowność i bujny temperament, łatwo je jednak „ugłaskać”. Stają się wówczas wyrozumiałe i przystępne, skłonne do zawierania przyjaźni. Lubią stroje gustowne i zarazem oryginalne; otaczają się kosztownymi przedmiotami, chętnie gromadzą biżuterię. Najczęściej zapadają na choroby serca (radzimy więc przypomnieć sobie co jakiś czas o EKG) i oczu.

Kobiety spod tego znaku często bywają władcze, niechętnie podporządkowują się woli (nawet bardzo kochanego) mężczyzny. Potrafią być jednak doskonałymi żonami, zwłaszcza dla niedoświadczonych, różnego autoramentu nieudaczników i leniów. Są wspaniałymi matkami. Ich



wadą jest gadatliwość. Dom wydaje im się najczęściej pusty, większość swojego wolnego czasu wypełniają więc intensywną pracą (dlatego mieszkające w mieście Lwy i Lwice powinny mieć ogródek lub działkę).

On najszczęśliwszy bywa z kobietami o wybujałej fantazji i dużym temperamencie (seksbomba to jego marzenie). Powinien szukać partnera wśród Baranów, Bliźniat lub Wodników, natomiast ona — wśród Byków, Koziorożców lub Wodników.

Szczęśliwym klejnotem Lwów jest rubin; kolorami — złoty i pomarań-

cowy; dniem — niedziela; imionami: Hanna, Natalia, Julia, Roch, Jacek, Romuald, Dorota.

Pod tym znakiem urodził się Napoleon Bonaparte (15 sierpnia), a także dwaj inni cesarze — Franciszek Józef (18 sierpnia) i Hajle Selasje (23 sierpnia). Spod znaku Lwa był też Bolesław Krzywousty (20 sierpnia).

Znak ten patronował także legendarnym wojownikom o wolność i sprawiedliwość społeczną: 20 lipca urodził się Simon Bolivar — bohater walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod rządów hiszpańskich; 13 sierpnia — Fidel Castro, wielki rewolucjonista i wybitny polityk kubański; 25 lipca — Patrice Lumumba, bestialsko zamordowany kongijski polityk i działacz niepodległościowy.

Wielcy artyści rzadko rodzili się pod tym znakiem; było wśród nich kilku pisarzy, m.in. Bernard Shaw (26 lipca) i Józef Ignacy Krąszewski (28 lipca), kompozytorów — m.in. Aleksander Głazunow (10 sierpnia) i Claude Debussy (22 sierpnia), garstka malarzy — m.in. Ilya Riepin (5 sierpnia). Wielbiciele Hanki Ordówny (iluz ich jeszcze zostało?) wiedzą zapewne, że i ona urodziła się pod znakiem Lwa — 11 sierpnia.

Pan Lew i panna Lew

Lew ma temperament, żywotność, zdrowie i poczucie nieomyślności. Jest egocentryczny. Wierność panny Lew wymaga wzajemności. Dobrze z niej gospodyni i pani domu. Bardzo sobie ceni wysoki standard życiowy, a zwłaszcza stroje, świecidełka etc. Oboje nie znają się na ludziach. Kobiety dają się zwieść nawet pozornym luksusem, nadzieją na dobrobyt, czasem — na nieróbstwo. Mężczyźni dość często myślą się w ocenie wartości partnerki. Ze względu na wrodzony pęd do dominacji rzadko kiedy para Lwów żyje w zgodzie. Prof. Jung daje jej 1 punkt.

Pan Lew i panna Baran

Pan Lew i panna Baran mają podobne temperamenty. Ponadto cechuje ich pogoda ducha, ufność względem partnera i radość życia. Pannie Baran dość trudno dobrać partnera na stałe; w przypadku Lwa trafia właściwie, bowiem uszanuje on indywidualność partnerki, choć — podobnie jak ona — lubi być podziwiany przez otoczenie. Ciekawe, że nawet wrodzony obojętny egocentryzm nie przeszkadza im w zgodnym współżyciu. Prof. Jung przyznaje tej parze bez wahania 5 punktów!

Pan Lew i panna Byk

Pannie Byk także podoba się wiadąca pozycja w towarzystwie, ale szczególnie w rodzinie. Pomimo więc pewnej harmonii seksualnej będą stanowili niezbyt zgodną parę. Pan Lew chętnie ponosi koszty reprezentacji, poprawiając w ten sposób swe samopoczucie i realizując potrzebę imponowania ludziom. Panna Byk woli mieć pieniądze w PKO (pewność — zaufanie). Często spogląda na męża zazdrośnym okiem. Niepotrzebnie, bo Lew to typ wierny, dopóki ma w domu to, co mu potrzebne do szczęścia. Prof. Jung daje im tylko 1 punkt.

Pan Lew i panna Bliźniak

Ich wspólne cechy to towarzyskość, rozmowność, uprzejmość, wesołość i łatwość zawierania kontaktów. Niestety, w dziedzinie życia seksualnego istnieją między nimi duże różnice. Bliźniaczka niejednemu flirt rade by przegadać, natomiast Lew, pełen temperamentu i gorącego uczucia, zbliża się do kobiety z jasno określonymi zamiarami. Liczy na wzajemność szczerą, prawdziwą, nieprzymuszoną; nie zadowolony się kokieteryjnym uśmiechem partnerki. Prof. Jung nie jest zdecydowany, ile tej parze przyznać punktów.

Pan Lew i panna Rak

Uspokojeni i charaktery obojga uzupełniają się wzajemnie. Zgodna

i łagodna panna Rak chętnie spogląda na królewskie maniere partnera i podziwia jego sposób bycia. Mimo słabej aktywności seksualnej — panna Rak w objęciach Lwa jest chętna i pojętna. A kiedy pojawia się między nimi okresowe nieporozumienia (gdzie ich nie ma?), ona pójdzie spokojnie na kompromis i weźmie na siebie rolę cierpiennika, aby nie dopuścić do małżeńskich katastrof. Prof. Jung daje tej parze 3 punkty.

Pan Lew i panna Panna

Odmienne charaktery, upodobania i temperamenty nie dają im szansy na zgodne małżeństwo, choć oboje mogą być ludźmi wartościowymi. Życie seksualne gra u pana Lwa rolę bardzo ważną, może się więc zdarzyć, że Panna nie doceni gwałtowności uczuć i przejawów temperamentu partnera. Szczędrość pana Lwa w stosunku do przyjaciół mo-

z kim do ślubu?

że — oszczędną i nieco wyrachowaną — Pannę wytrącić z równowagi. Dyrektorskie zapędy Lwa również mogą napotkać opór Panny. Prof. Jung przyznaje im 3 punkty.

Pan Lew i panna Waga

Para ta harmonizuje z sobą całkowicie, łatwo i skutecznie dochodzi do porozumienia. Oboje potrafią ocenić przyjemności, jakie niesie życie. Ona czuje się stworzona do piękna, luksusu i bez troski, on jest dumny z pełnej czaru i uroku żony. Panna Wagi są dobrymi strategami w małżeństwie: chętnie zezwalają na błyszczenie męża w towarzystwie; część blasku spływa wówczas także na nie — w postaci hołdów nie tylko męża, lecz i liczniejszych znajomych. Seksualny dobór obojga jest korzystny. Rozstanie się w latach późniejszych — mało prawdopodobne. Od prof. Junga 5 punktów!

Pan Lew i panna Skorpion

Charakter pana Lwa nie jest skomplikowany, więc jeśli panna go przejrzy, będą żyli w zgodzie. Są dla siebie atrakcyjni seksualnie, tylko jego arbitralność, egocentryczność i władczość mogą panna Skorpion doprowadzić do szału, albowiem ona czuje się powołana do sprawowania rządów w rodzinie. Jej bezsensowna zazdrość często bywa przyczyną burz domowych. Główne nieporozumienia będą jednak wynikały z całkowitej odrębności poglądów na temat wartości życia.

Prof. Jung daje tej parze tylko 1 punkt.

Pan Lew i panna Łucznik

Pan Lew i Łuczniczka uzupełniają się pod wieloma względami. Nadmierne poczucie niezależności, pewność siebie i niezależność Łuczniczki mogą trochę Lwa irytować, lecz nie będą powodem poważniejszych nieporozumień. Oboje podchodzą do życia optymistycznie i z humorem. Nie przejmują się byle czym, rzadko miewają kompleksy. Lubią liczne towarzystwo i dobrobyt. Gospodarstwo domowe nie jest hobby Łuczniczki, lecz potrafi o nie dbać ze względu na rodzinę. Prof. Jung przyznaje tej parze 4 punkty.

Pan Lew i panna Koziorożec

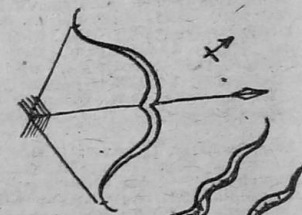
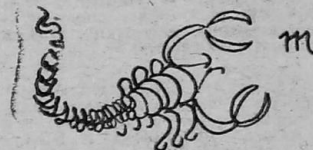
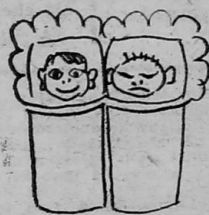
Wzajemne zainteresowanie między panem Lwem, a panną Koziorożec może wystąpić tylko przełotnie. Lew — szczery, otwarty, pełen radości życia i humoru — nie jest odpowiednim partnerem dla nieco posępnej, trzeźwo myślącej i poważnej panny. Koziorożec. Siła żywotna Lwa jest dla niej trochę niezrozumiała. Z przykrością będzie musiała stwierdzić, że jej duże, lecz na zewnątrz mało efektowne zalety nie będą dostatecznie doceniane. Także należy się spodziewać między obojgiem pewnych dysharmonii seksualnych. Prof. Jung daje tej parze, szans na trwały związek za 3 punkty.

Pan Lew i panna Wodnik

Lew i Wodnik to znaki zodiaku przeciwnie, zatem pomiędzy ich przedstawicielami powinna istnieć harmonia opierająca się na przeciwnościach. Wodniczka jednak ma w doborze partnera koncepcję własną, na wskroś oryginalną, inne niż reszta jej siostr zodiakalnych, dlatego ekstrawersyjny i egocentryczny Lew rzadko kiedy znajdzie się wśród jej ideałów. Duchowa samodzielność Wodniczki przywodzi na myśl kota chadającego własnymi drogami. Jest ponadto gościnną, towarzyską, emocjonalną i mało wymagającą, a dla partnera, którego kocha, skoczyłaby do wody. Ale łatwo ją zrazić, szczególnie brakiem inteligencji. Prof. Jung przyznaje tej parze 4 punkty.

Pan Lew i panna Ryba

Pana Lwa i pannę Rybę łączy z sobą niewiele. Ona jest spokojna, cicha, wrażliwa, romantyczna, nieśmiała i nieco bierna; silnie reaguje na wpływy psychiczne. Demonstracyjna towarzyskość Lwa, jego impulsywność i władczość onieśmielają skromną Rybkę. O trwały związek tej pary łatwiej, kiedy między partnerami jest spora różnica wieku. Od prof. Junga 1 punkt.



Rys. STANISŁAWA TOMASZKA
Fot. CAF

BAWIALNIA

BAWIALNIA

BAWIALNIA